



Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XXX Nr 12(352) Żelów, grudzień 2025

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Wiersze: Andrzeja Frosy, Krzysztofa Gołębiowskiego, Janiny Jurgowiak, Sławomiry Sobkowskiej-Marczyńskiej, Jerzego Stasiewicza

Andrzej Dębkowski – *Sonety z popiołu i wódki* oraz *Odejścia*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności* (230)

Stefan Jurkowski – *Imię Nieskończony* oraz *A ja bym Ci nieba przychylił*

Joanna Friedrich – *Gwiazdka tuż-tuż*

Andrzej Walter – *Mea culpa*

Mirosław Osowski – *Moja walka z rakiem* (75)

Adam Lizakowski – *Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą?* (5)

Rafał Nowocień – *Szeptem do nieba*

Jerzy Stasiewicz – *Mityczność drogi zatopiona w tajemnicy czasu*

Eugeniusz Kurzawa – *Powieść kryminalna jako zwierciadło epoki*

Mirosław G. Majewski – *Buszujący w antykwariatach* (7)

Grażyna Słama-Ugorska – *Żelów – jedna nazwa wiele miejsc*

Tatiana Mielcarek – *Wolność między prawdą a iluzją*

Witryna

Opinie

Noty

Poglądy

Informacje

Kronika

Konkursy

Szkice

Eseje

Publicystyka

Felietony

Krytyka

Filozofia



Fot. ©Andrzej Dębkowski

Kronika

Najważniejsze rocznice roku 2025

Pośród najważniejszych wydarzeń 2025 r. znajdują się m.in.:

- ✓ 1700. rocznica pierwszego soboru powszechnego w historii chrześcijaństwa,
- ✓ 1025. rocznica zjazdu gnieźnieńskiego,
- ✓ 1000. rocznica koronacji pierwszego króla Polski Bolesława Chrobrego,
- ✓ 520. rocznica uchwalenia na sejmie w Radomiu konstytucji *Nihil novi*,
- ✓ 500. rocznica hołdu pruskiego,
- ✓ 230. rocznica III rozbioru Rzeczypospolitej,
- ✓ 105. rocznica Cudu nad Wisłą,
- ✓ 100. rocznica urodzin Margaret Thatcher
- ✓ 90. rocznica śmierci Józefa Piłsudskiego,
- ✓ 85. rocznica zbrodni katyńskiej,
- ✓ 80. rocznica zakończenia II wojny światowej,
- ✓ 80. rocznica podpisania *Karty Narodów Zjednoczonych* i powstania ONZ,
- ✓ 70. rocznica powstania Układu Warszawskiego,
- ✓ 45. rocznica powstania NSZZ „Solidarność”,
- ✓ 25. rocznica śmierci Jana Karskiego,
- ✓ 20. rocznica śmierci oraz 105. rocznica urodzin papieża Jana Pawła II,
- ✓ 5. rocznica wybuchu w Polsce pandemii COVID-19.
- ✓ I wiele, wiele innych...

Konkursy



Konkurs literacki Fantazje Zielonogórskie

Organizatorem konkursu jest Zielonogórski Klub Fantastyki Ad Astra.

Konkurs ma charakter otwarty.

Na konkurs należy przysyłać **opowiadania fantastyczne** inspirowane historią, teraźniejszością lub przyszłością Zielonej Góry.

„W cieniu dawnych pruskich murów, wśród lubuskich winnic lub w futurystycznym blasku neonów, Zielona Góra pulsuje historiami. Zapraszamy was do stworzenia fantastycznej opowieści, gdzie losy miasta splatają się z wizją „Nowego wspaniałego świata”. Jak wygląda utopia lub dystopia w sercu lubuskiego? Czy to świat harmonii, czy może pułapka perfekcji? A może rzeczywistość pełna niewypowiedzianych grózb i koszmarów? Daj

się porwać wyobraźni i sam ukształtuj odważną opowieść, która zachwyci czytelników i skłoni do refleksji.

Objętość tekstu nie może przekraczać 30 tys. znaków ze spacjami.

Opowiadanie nie może być wcześniej publikowane ani nagradzane.

Prace należy przysyłać mailem.

Regulamin konkursu: <https://fantazje.adastra.zgora.pl/regulamin-10-edycji/>

Zwycięzca konkursu otrzyma nagrodę pieniężną w wysokości **1500 zł** oraz statuetkę Zielonogórskiej Wiedzy.

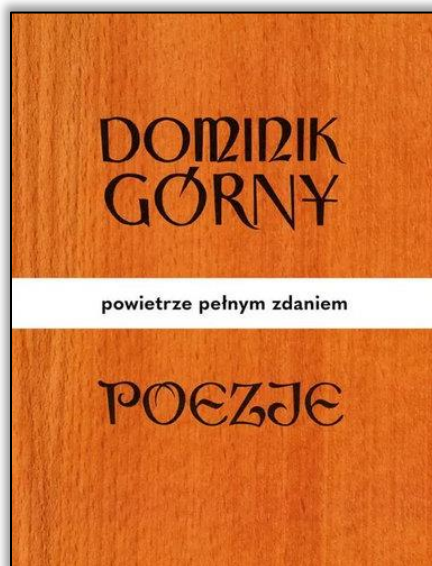
Najlepsze opowiadania zostaną opublikowane w antologii pokonkursowej.

Prace można przysyłać do **28 lutego 2026 roku**.

Nowe...

„Powietrze pełnym zdaniem” – książka nie tylko o oddychaniu poezją...

„Powietrze pełnym zdaniem” to najnowsza książka Dominika Górniego, pomysłodawcy i inicjatora Światowego Projektu „Poezja dla Kultury Godności”, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Miejskiego Posenia. Książkę można z powodzeniem czytać i oglądać, co udowadnia obecność tzw. „dobrych nazwisk”, które współtworzą jej klimat: przedświade napisała językoznawczyni – prof. Halina Zgółkowa, fotografię autora wykonała Ewelina Jaśkowiak a 9 ikonografii, po przeczytaniu tej poezji stworzył prof. Józef Petruk, odpowiedzialny też za autorski projekt literatury na okładce.



Książka wpisuje się w cykl publikacji łączących twórczość poznańskiego literata z malarstwem, grafiką i rysunkami: „Kwadran dłuższy od piętnastu minut” z reprodukcjami dzieł Wojciecha Siudmaka, „Poe-

mat na Księżyc i Podkowę” z grafikami Ryszarda Kaji, „Malarstwo Rafała Labijaka wyśpiewane w poezji Dominika Górniego” i wiele innych.

Co o twórczości poznańskiego poety i o nim samym piszą ludzie kultury?

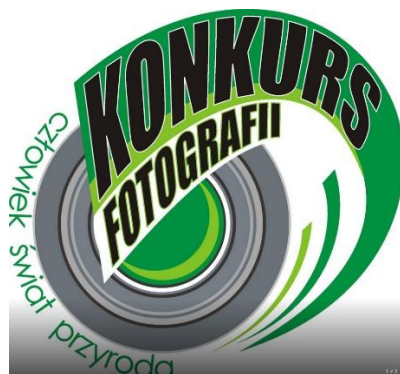
Przywołajmy kilka opinii zaczerpniętych z rękopisów, listów i oficjalnych publikacji: *Od lat śledzę z wielkim zainteresowaniem i intelektualną satysfakcją twórczość poetycką Dominika Górniego. Podziwiam jego zmaganie się ze słowem, głębię myśli i warsztatową sprawność – prof. Jan Miodek*; Dominik to znany i uznany poeta. Ponadto jego warsztat poetycki jest co najmniej tak ustabilizowany, jak jego postać w polskim (i nie tylko polskim) krajobrazie kulturowym – **prof. Tadeusz Zgółka**; Poezja Dominika Górniego jest wywołana na człowieka i świat muzyką płynącą z wnętrza przygody intelektualnej jaką powinien stanowić każdy człowiek myślący, aktywny, budzący się w środku swoich czasów i chcący na te czasy mieć jakiś wpływ, mieć w nich swój głos, swój udział i swoje „pięć minut” – **Andrzej Walter**; Dominik jest twórcą pięknego polskiego słowa. Z pełną atencją dla jego poetyckiej pasji oraz podziwem dla hołdowania pięknemu słowu i wyobraźni – **Andrzej Wituski**; Ma nieprzeciętny talent do pisania chwytliwych, mądrych i godnych zapamiętania tekstów – **Katarzyna Gaertner**.

Różne



Strona festiwalu:

<https://www.neissefilmfestival.net/pl/start>



Strona Konkursu:

[https://pisarze.pl/2025/10/08/2026-03-15-xxiii-ogolnopolski-konkurs-fotografii-dzieci-i-młodzieży-człowiek-swiat-przyroda/](https://pisarze.pl/2025/10/08/2026-03-15-xxiii-ogolnopolski-konkurs-fotografii-dzieci-i-mlodziezy-czlowiek-swiat-przyroda/)

Andrzej Walter

Mea culpa

Tekst dedykuję moim Rodzicom

Znowu zgrzeszyłem. Mea culpa. Wszedłem w Krakowie do jednej z dwóch jakże szybko dziś zanikających i umierających księgarni i kupiłem sobie (o zgrozo!) cztery tomy poezji. Czyn niemodny, nieetyczny, niestosowany już w przyrodzie i świecie, i jakże dziś rozrzutny. Mało kto jeszcze dziś przecież tak robi, ale ja już tak mam. Utracysz sybaryta, dziaders, który marnuje ciężko zarobione pieniądze na... miłość i poezję. Warto było? Oj, warto, warto. I dlatego ten rozrzutny, mało szlachetny i do bólu szczery tekst.



Adam Zagajewski
Trzy czwarte

Wydawnictwo a5

Na pierwszym miejscu stawiam „nowy” tom **Adama Zagajewskiego**, który zmarł twychwał chaotycznie poskładany *pecuniae causa* ze strzępów przez swojego wydawcę. Jednakże jakie to są strzępy. Rarytasy. Przedwcześnie zmarły poeta zapewne byłby połowicznie zadowolony. My możemy być też, tylko połowicznie, ale lepszy rydz niż nic. Kilka wierszy jest jednak genialnych.

Kwitną lipy – tekst z 2012 roku, opublikowany w Zeszytach Literackich

Znów kwitną lipy i znowu jestem jak pod narkozą – a ci, co idą aleją, pewnie też desperacko próbują zrozumieć, czego chcą kwiaty, jakiej ekstazy domagają się od nas, czy to śmierć w nich mówi, pomysłowa i hojna, czy miłość, lakoniczna miłość, bo chyba nic innego nie ma na świecie, jeszcze tylko oszołomienie, niepewność i pytania, i wiersz, i dużo milczenia, i czarne ramy, które długo czekają, i światło niezłomne, które świeci.

To niewielkie arcydziełko literackie mówi nam więcej o nas samych niż tysiące rozpraw i esejów, lepiej definiuje los i ducha człowieka niżli sążniste analizy psychologów i filozofów, tylko trzeba to umieć przeczytać, i umieć zrozumieć, i chcieć na moment dociec, zadać te same pytania i potrafić zachwycić się jak zgrabnie ujął to poeta. Wielki poeta, może jeden z gigantów poezji? Ja nawet nie chcę tego wiersza komentować, jest tak prosty i oczywisty. Zapewniam, nie dla wszystkich. Już widzę klucz matu-ralny. Strach się bać.

I jakby komentarzem, sugestią odpowiedzi na tę tezę jest inny, nieco autoironiczny wiersz, choć prawdziwi poeci go rozumieją perfekcyjnie.

Rodzice patrzą na moje życie – (całą arcy-ciekawą i kontrowersyjną od strony mecha-nizmu twórczego i warsztatu poety historię od-nośnię tego wiersza oraz całego złożonego kontekstu znajdziecie w nocie wydawniczej opisującej utwory, ale nie na tym się skupiam w tym tekście):

*Rodzice patrzą na moje życie –
Ojciec lekko rozbawiony*

*Był inżynierem, ale na świat
I rodzinę spoglądał filozoficznie*

*Mama nie miała żyłki filozoficznej
Chyba żeby pamiętać o presokratykach*

*Na zdjęciu próbuje się uśmiechać
Nie kryje jednak niepokoju*

*Nad nimi ciemne chmury
I nade mną ciemne chmury*

*Nie ma mnie na fotografii
Jestem tylko w ich spojrzeniu*

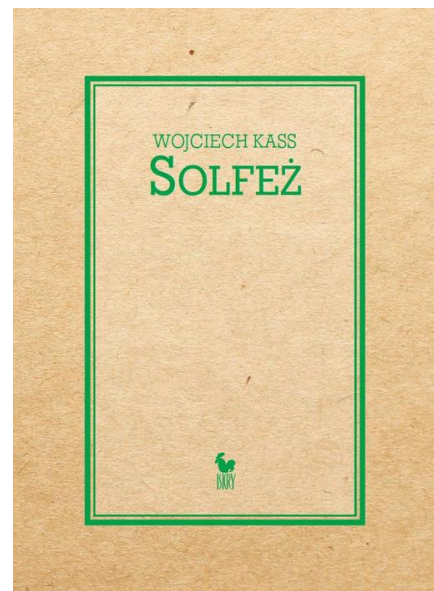
*Martwią się o mnie:
On pisze wiersze*

Czy ktoś się jeszcze o nas martwi? My też przecież piszemy wiersze. Nikomu niepo-trzebne dziś wiersze. Jacyś „poeci”, niedoróbki społeczne, efemerydy niezrozumiałe, pajace. Scenka z rodzicami – jakbym widział rodziców własnych, rodziców dodam, których już tu nie ma. Których już nie spotkam i którym przecież wybaczam to niezrozumienie, tę nieporadność duchową, to ... niedopatrzenie. (Przecież pisanie wierszy to... lekka przesada).

Jeśli się zna, ceni i czytało Adama Zagajewskiego to tom „Trzy czwarte” to lektura obo-wiązkowa. Może nawet kanon literacki dla każ-dego chcącego nazywać się dziś poetą. Oczywi-ście w ramach ciekawostki pośmiertnej, ale i całego dorobku mistrza Adama.

Drugi zakupiony tom to świetny „Solfeż” **Wojciecha Kassa**. Sylwetki Wojtka, szefa Le-śniczówki Pranie, słynnej leśniczówki naszego

innego – być może odległego już mistrza poezji – mistrza K.I. Gałczyńskiego nie trzeba chyba przybliżać, gdyż wszyscy go znamy. Zarówno K.I. jak i Wojtka Kassa.



Z tomu Wojtka uderzył mnie genialny, na-prawdę rewelacyjnie genialny tekst, którym poeta zgrzeszył w ramach wstępu, a z którym się zgadzam w stu procentach i do tego uwa-żam, że powinno się go roztrąbić na całą lite-racką Polskę, co niniejszym czynię:

Nie rozstrzygnąłem jeszcze: jestem samotni-kiem czy społecznikiem? Wolę być sam, czy z ze-społem? Blisko dwadzieścia lat temu napisałem w wierszu:

*Gdy jestem sam, tyle spraw się układa, oprócz samotności.
Kiedy bywam wśród ludzi, nic się nie układa, tylko ludzie*

Cieężko jest żyć wśród nich i ciężko jest pisać niczego nie oczekując, nie obrysowując w wyob-rażni sylwetki adresata. Osip Mandelsztam noto-wał: {Nie trzeba troszczyć się o akustykę. Zjawi się sama. Należy troszczyć się raczej o oddale-nie}, bo poezja {oddycha nieoczekiwaniem}, a {fjej powietrzem jest niespodzianka}. Wrogiem poety, ale nie literata, jest retoryczność. Oznacza niedostateczne osadzenie w literze zjawiska, ja-kim jest nasze istnienie. Co mieli robić bednarze, kaletnicy, rękawicznicy kiedy ich zajęcia z obiegu wycofała przyszłość? Co mają uczynić po-eci, gdy poezja jako najbardziej archaiczna, a przy tym arystokratyczna forma wyrazu i poro-zumienia schodzi ze sceny, odchodzi w prze-szłość? Nie znajduję odpowiedzi, co nie przeska-dza mi wierzyć, że mam w ręku fach słowa.

(Dokończenie na stronie 4)

Mea culpa

(Dokończenie na stronie 4)

Zasłużony, gdyż modłę się i pracuję w tym rzemiośle i niezasłużony, bo łaska, która sprawia, że słowo staje się wydarzeniem nie pochodzi od poety. Tak, czy inaczej, poezję należy czytać albo zostawić ją w całkowitym spokoju. Trwajmy więc nadal w zadziwieniu, że język chce składać w wierszu swoje metafizyczne przeznaczenie”.

Jakże gorzkie było kilkukrotne przeczytanie tego wyznania. Tak, bo to jest wyznanie, spowiedź poety, jego los. Poezja schodzi ze sceny. Już zesza. (...) modłę się i pracuję w tym rzemiośle... Poezja – arystokratyczna forma wyrazu i porozumienia.

Jaką szkodę przynoszą współcześni kapłani słowa, niczym hieny cmentarne uczyniwszy ze słowa towar, a poetę zaprzęgową prostytutką, rozdając te i owe nagrody, albo to, co skapnęło z pańskiego stołu i w tym mikro świecie wdzięczą się miernoty do miernot, wchodzą na salony, stosują pióra i krzyczą głośnie od bomb. Do tego akademicy wtórują za kulisami, czyniąc wybitnych z wybitnie nikomu nie znanych i nieczytanych grafomanów, wypychając na pomniki ociekającą mizérią bełkotliwą mowę niby współczesności, tylko po to żeby uzasadnić swoje znaczenie i istnienie. W tej de-grengoladzie upadku rodzą się demony. I straszę później tę wąską grupę wyznawców, rzemieślników od przypadku do przypadku. Co mają zrobić ci, którzy modlą się i pracują poezją? Ci, co ją naprawdę kochają? Mają zdychać. Tylko nikt wydaje się nie powie dziś tego głośno. Ja mówię i piszę. I dlatego mnie nie lubią. Pies to trącał.

Każdy z tych szarlatanów, który dokłada choć cegiełkę do uwznioślenia tych słabych i bełkotliwych tekstów będzie się kiedyś w piekle smażył. A ja im kiedyś przypominę, kochani, to był **bilet tylko w jedną stronę**. Módlcie się teraz do tych waszych bożków: sławy, pokłasku, mamony i taniej popularności na 10 minut; i resztek postradanej godności. Czynicie z poezji dla tego społeczeństwa rzecz jeszcze bardziej niezrozumiałą niż jest w rzeczywistości. Zabieracie temu społeczeństwu piękno, dobroć i poezję. Tę odwieczną arystokratyczność. W zamian chcecie mu dać sekundowych celebrytów i złudzenie nobilitacji. Niech wam ziemia lekka nie będzie. Jesteście zmorą środowiska. Czynicie to w imię tylko własnych – prymitywnych i partykularnych interesów, czynicie to wyzuci z piękna i ideałów, czynicie to wręcz wbrew sobie i wbrew dobremu smakowi, którego was jednak kiedyś nauczono, ale przeciwko któremu ulegliście sprzeniewierzeniu...

Wielu wie, kogo mam na myśli, choć ten salon i ta lista jest już coraz dłuższa. Pęcznieje prawem Kopernika-Greshama, gdzie gorszy pieniądz wypiera lepszy. To się nazywa zwyczajnie – psuciem. Psuje się dla jakichś celów. Sami sobie dopowiedzcie dla jakich.

Kolejnym tomem zakupionym w jeszcze żyjącej (ledwo) księgarni był wydany nakła-

dem Biura Literackiego tom „Zertwy” **Antoniny Tosiek**. Ciekawe wiersze, nowa dykcja, zaskakujące choć czasami niedopracowane po-inty wierszy, ale całość warta doświadczenia.

Neogotyki

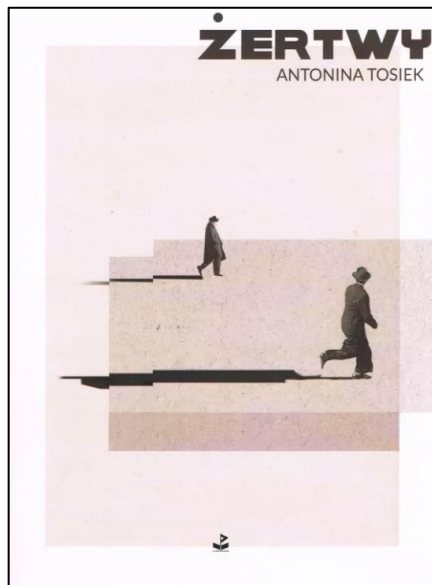
*Uchylić się przed ciosem
można w dół albo na boki.
Są szczeliny w sklepieniu,
są granaty, krzyże, żebra
i proszą, proszą, widzisz?*

*Pan dał nam dym. Dał las
i twarze świętych w gotyckich
kościółkach. Wola
to wróżka zębuszka
połykających na sucho
tabletki jak żwir, jak rzęsę;
słyszę, jak mnie woła,
przekręca imiona
i obśmiewa porażki.*

*Jestem jednią, jestem komunikacją,
jestem twarzą w muszli,
jestem wierzchem dłoni,
nieprzetrawioną żółcią
i smrodem w kolorze fluo;
rozbryzg UV, Pollock UV.*

*Jestem jednią!
Jestem cielcem,*

składam żertwę.



Mocny wiersz, choć ja bym go zakończył „jestem żertwą”. Czyż nie uszlachetniłoby to tego utworu. No, ale prawo autorki być czym zechce. Ostatecznie wiele w tym tekście krzyku, zagubienia, smutku i degradacji. Taka jest jednak nasza rzeczywistość roku pańskiego 2025 w XXI wieku, który zmierza do unicestwienia człowieka. Do bycia żertwą. Niczym więcej.

Ostatni zakupiony tom przez utracjusza dziadka Waltera to „Na skrawku” **Jarosława Mikołajewskiego**. Jest tam wiersz, którym chcę was na koniec wzruszyć, poruszyć, a może oderwać nieco od tego katastroficznego tonu.

Przy tej okazji zaznaczę, że dobór oferty tej jednej z ostatnich już krakowskich księgarni w dziedzinie poezji, jest iluzoryczny, czysto przypadkowy, albo świadczący o sile przebicia pewnych bogatych wydawnictw, systemów dystrybucji czy powiązań rynkowych. Dział nazywa się poezja, sprzedaje poezję, faktycznie, tyle że z polską współczesną poezją nie ma to wiele wspólnego, owszem – macie tu przykład dwójki powiedzmy, że znanych autorów, dwójki nieznanach (już słyszę oburzenie „who is who”), ale tu nie jest winna księgarnia, tylko całokształt – społeczeństwo, uczynienie z książki pietruszki czy selera i image kulturowy kształtowany przez te żalosne pożałujcie boże „elyty”...



Jarosław Mikołajewski „list do”

*a spośród wszystkich pięknych uprzejmości
(co dzień jak wiesz zaznaję ich wiele)
najbardziej wzruszył mnie gest tego pana*

*starego sąsiada z roztrzęsioną ręką
kiedy otworzył mi furtkę domu
choć długo nie mógł ująć w dłonie klamki
lecz w chwili kiedy zająłem mu w oczy
miał w nich błękitne dzieciństwo anioła
co pewnym skrzydłem prowadzi przyjaciół
przez rzekę powietrza
głodu ognia i wojny*

Obyś i ty miał, Drogi Czytelniku na swojej drodze takich przyjaciół o błękitne oczu anioła. Anioła Stróża. Anioła, w którego już chyba nikt dziś nie wierzy. Jakże to smutne.

Andrzej Walter

Jarosław Mikołajewski, „Na skrawku”. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2025.

Antonina Tosiek, „Zertwy”. Biuro Literackie, Kołobrzeg 2025.

Wojciech Kass, „Solfeż”. ISKRY, Warszawa 2025.

Adam Zagajewski, „Trzy czwarte”. Wydawnictwo A5, Kraków 2024.

Adam Lizakowski

Czy poeta Czesław Miłosz był kosmitą? (5)



Fot. Andrzej Dębkowski

W San Francisco, Berkeley aż kipiało od „energii młodych”, nastał bardzo trudny okres w życiu przeciętnego Amerykanina, wielu rodziców, często weteranów II wojny światowej, zastanawiało się nad tym, czy jest sens pozwalać swoim synom uczestniczyć w wojnie w Wietnamie, o której nic nie wiedzieli, kraju którego nie umieli znaleźć na mapie. Czy Miłosz rozumiał młodych i wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, co się działo wokół niego, trudno jest jednoznacznie odpowiedzieć. Wiele razy zastanawiał się nad tym, skąd tylu ludzi przybywa do miasta San Francisco, skąd ci ludzie są, skąd się wzięli? Dlaczego zbuntowali się przeciw własnym rodzicom, co było powodem ich buntu? Tych powodów było wiele i często bardzo dziecinnych, był sprzeciw, na przykład, by słuchać się rodziców, czyli by nie chodzić w niedzielę do kościoła, albo buntowanie się przeciwko uczeniu się lub odrabianiu lekcji. Buntowali się przeciwko zakazowi picia alkoholu lub zakazowi brania narkotyków, zakazowi seksu przedmałżeńskiego albo zakazowi ubierania się w stare, zniszczone ubrania, zakazowi jedzenia byle czego. Chcieli być wolnymi, chcieli tworzyć tak zwane komuny hippisowskie, w których łatwiej dostać było narkotyki niż kanapkę z serem czy pomidorem. Większość tych bardzo młodych ludzi przez cały czas hippisowski była bardzo głodna, po prostu głodowała, żyła w nędzy i wbrew wszelkim warunkom sanitarnym. Przybyli do San Francisco, aby doświadczyć coś, czego nie mogli przeżyć pod rodzinnym dachem, więc przeżywali swoją utopię, wzięcie w swoje ręce odpowiedzialności za siebie i świat. Miłosz o tym wiedział, chciał ocalić Amerykę przed Ameryką jako Europejczyk, czy mu się to udało, dzisiaj trudno jest to stwierdzić jednoznacznie. Był elitarnym profesorem uczącym na elitarniej uczelni, mieszkał w elitarnym miejscu

na ziemi, a po wykładach o Dostojewskim czy Swedenborgu, po wykładach o polskim renesansie czy baroku, studentów też miał elitarnych. A oni wracali do swoich mieszkań, gdzie palili marihuane, pili piwo, słuchali muzyki Boba Dylana czy Rolling Stonesów, lub piosenki – hymnu hippisów, śpiewanej przez Scotta McKenzi w 1967 roku:

If you're going to San Francisco
Be sure to wear some flowers in your hair
If you're going to San Francisco
You're gonna meet some gentle people there

For those who come to San Francisco
Summertime will be a love-in there
In the streets of San Francisco
Gentle people with flowers in their hair

Miłosz nie wkładał kwiatów we włosy, nie musiał się wybierać do San Francisco, mieszkał na jego przedmieściach i codziennie oglądał miasto przez okno swego tarasu. Nie interesował się za bardzo subkulturą hippisów, nie palił marihuany (jest to duża strata dla polskiej poezji), ale lubił zajrzeć do kieliszka, poza tym nie ma wiele śladów o tych wydarzeniach w jego twórczości, ale jest sporo uwag dotyczących lat sześćdziesiątych w jego prywatnej, bardzo bogatej korespondencji.

Aby zakończyć wątek hippisowski, należy wejść przez te trzecie drzwi, warto powołać się na Janis Joplin i jej ostatnią piosenkę a cappella, nagrałą przez nią trzy dni przed śmiercią. A cappella znaczy bez podkładu muzycznego, aby publiczność mogła skupić się wyłącznie na przekazie, nie będąc rozpraszana przez muzykę. W ten sposób skonstruowany utwór wykonany a cappella, bardzo przypomina ewangelie i duchową pieśń.

Piosenka „Mercedes Benz” to ironiczno-sarkastyczny utwór napisany przez piosenkarkę wraz z poetami Michaeliem McClure i Bobem Neuwirthem. Piosenkarka prosi Pana Boga, aby udowodnił swoją miłość do niej, kupując Mercedes-Benz, kolorowy telewizor i kilka jeszcze innych rzeczy, (które w tej chwili nie są przedmiotem naszego zainteresowania). W rzeczywistości piosenka ocieka sarkazmem i ironią. Janis Joplin krytykuje ludzi, którzy wykorzystują modlitwę, by prosić w niej o osobiste korzyści.

Janis nabija się z ludzi, którzy modlą się o materialne luksusy, słuchając lub oglądając w telewizji tzw. ewangelistów (Oh lord wont you buy me a color TV), którzy proszą o datki widzów, zapewniając ich, że Bóg wynagrodzi ich i nie zapomni o nich w ich trudnych finansowych chwilach. Piosenkarka, zanim zaczęła śpiewać, zrobiła małe wprowadzenie: Id like to do a song, of great social and political importance. It goes like this. Zaśpiewam piosenkę o wielkim znaczeniu społecznym i politycznym. Tak się ona zaczyna. W tych kilku słowach Janis postrzega społeczeństwo jako maszynierę, w której zachodzą wszystkie procesy, z którymi ona nie chce się zgodzić. Wszystko jest podporządkowane zbiorowemu dobrobytowi i zyskowi. W takim systemie nie ma miejsca na indywidualizm, osobiste potrzeby i wyjątkowe doświadczenie. W

tych przypadkach prośba do Boga i mercedesa staje się kpina z wartości swoich rodziców:

Oh lord won't you buy me a Mercedes Benz.
My friends all drive Porsches, I must make amends.
Worked hard all my lifetime, no help from my friends.
So oh lord wont you buy me a Mercedes Benz.

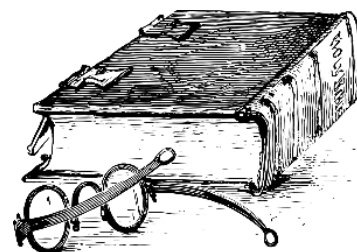
Oh lord won't you buy me a color TV.
Dialing for Dollars is trying to find me.
I wait for delivery each day until 3.
So oh lord wont you buy me a color TV.

Oh lord wont you buy me a night on the town.
I'm counting on you lord, please dont let me down.
Prove that you love me and buy the next round.

Oh lord wont you buy me a night on the town.
Everybody, Oh lord wont you buy me a Mercedes Benz.
My friends all drive Porsches, I must make amends.
Worked hard all my lifetime, no help from my friends.
So oh lord wont you buy me a Mercedes Benz.

Nas interesuje to, że piosenka uważana jest przez jednych za nawoływanie do materializmu, a przez innych uważana jest jako bunt przeciwko niemu. Joplin śpiewa: Worked hard all my lifetime, no help from my friends / Przez całe życie ciężko pracowałam i nie miałam nikogo do pomocy. Chce doświadczyć przyjemności, jakie życie ma do zaoferowania, więc prosi Pana Boga o mercedesa. (So oh lord wont you buy me a Mercedes Benz). Motywuje swoją prośbę tym, że (My friends all drive Porsches, I must make amends) wszyscy moi przyjaciele jeżdżą już porsche, muszę to zauważyć. Tak jak wielu innych, też chce być bez troska i szczęśliwa, wartości materialne są ważniejsze od duchowości. W piosence jest kontrast pomiędzy Goods i God, ale przekaz jest bardzo oczywisty: utrata zainteresowania wartościami duchowymi na rzecz wartości materialnych. Duchowość to także relacje ludzkie, a zamiast nich ważniejszy jest kult produktów i dóbr. Materializm wygrywa z religią, piosenkarka wyśpiewuje dewaluację chrześcijaństwa jako instytucji społecznej. Bóg nie jest już tak ważny jak mercedes, nie ucieleśnia już duchowych wartości, nie czyni człowieka odpowiedzialnym za swoje czyny i grzechy, teraz najważniejsze jest mieć, bo mieć znaczy być.

cdn.



Andrzej Frosa

Córka

prośba kobiety o śpiew
wszystko się rozsypało wracam z Kigali
wiza butelka wódki płacz bilet
w walizce przetrwania mam drugiego
człowieka
w zeszyły czwartek ona próbowała odejść
oddam za nią śpiew ptaków
wszystko się rozsypało wracam z pogrzebu
w rękach nie trzymam już życia
w skrzynce na listy odbieram listy
o życiu
próg domu
fotografia przyjaciół – fatamorgana życia
zieleń zamknięta w klatce
kaseta w moich rękach
dzisiaj w walizce przetrwania znalazłam
śpiew ptaków
od niej

* * *

nie widzę cię
biegniesz ulicami
ale cię słyszę
masz imię wiek dowód osobisty i miejsce
spotkań
dwudziestoletnia Emilia
dwudziestodwuletni Jakub
dwudziestotrzyletni Alex
czy będziesz się starzeć
tak jak ideologie sekty komputery zabawki
czy będziesz nieśmiertelna jak prąd
który płynie w żyłach cywilizacji
i żywi się słońcem
kiedy zmienisz się w nieskończoność
rozkazesz ludziom napisać 10 nowych
przykazań
i zmienisz ich w Hutu i Tutsi

* * *

mam drewniane loki
z cieni struga
i drewniany świat
zeschnięty szorstki popękany
pień-język
jak bierki szachów wystrugane niezdarne
w więzieniu
„Uskrzydłone figurki na koniec roku”
„elementy do machania”
„ziemny mebel”
bronię się

* * *

nie ma mnie
nadchodzi pora kiedy karaluchy miasta
wypełzają
przestawiają krzesło
czajnik

zdejmują obraz
znika kawałek ciasta
potem wezmą mnie za rękę
aż będę miała sine paznokcie
myślę o tobie sercátko
o twoim powrocie – górą
przez gałęzie morw
i o twojej ucieczce
do miasta

Janina Jurgowiak

Ciąża

Zauważyłaś
jestem chimeryczna kapryśna niespokojna
przyznaję jestem w ciąży
nowe życie rośnie we mnie pęcznieje kopie
to nie twoje dziecko
W wyniku zapatrzenia w chmury urodzi się
nowy wiersz
będzie podobny tylko do mnie

Jak przyjaciel

Odwrociłam się od szczekania
i spojrzałam na niego
Oczekiwałam obrony ale on
skurczył się
Siedział z podwiniętym ogonem
i patrzył oczami psa który wie
że napaskudził
Ach to ty pomyślałam
Teraz będziesz miły
będziesz nadskakiwał merdał
łasił się
jak najlepszy przyjaciel człowieka

Pinokio

drewniany pajacyku
kochasz dziewczynkę o niebieskich włosach
to dla niej chcesz być żywym chłopcem
a przecież chłopiec urośnie
zestarzeje się
umrze
w tej postaci jaką ci nadał stolarz
jesteś nieśmiertelny
niczego się nie bój oprócz ognia
i nie kochaj na litość boską
niebezpieczny jest żar miłosny
pamiętaj
jesteś z drewna
a on już wybrał
spłonął

Świadećtwo

Patrzę na rozstrzelane świadectwo
brata, którego nie znałam:
bardzo dobry... postrzępiona dziura...
dobry, dobry, dobry.
Przeszedł do klasy trzeciej,

do której nie poszedł –
nie zdał do historii.
Niespełna dziewięcioletni
był dobry na tyle,
żeby po wakacjach prosto do nieba.

Krzysztof Gołębiewski

Skancerowani

Jesteśmy za drodzy
aby się wycenić

Jesteśmy za szczerzy
aby się zrozumieć

Jesteśmy za ogromni
aby się odnaleźć

Jesteśmy za dumni
aby podać sobie ręce

Jesteśmy za blisko
aby się zobaczyć

Jesteśmy razem
by żyć osobno

Wszystko będzie dobrze

Spokojnie szybować
po bzy za horyzontem (gdzie
poszedł Antek)

Spokojnie kłaść
rękę na stole (by szukać
chleba)

Spokojnie myśleć
że jeszcze się żyje (jak
bohaterowie na cokołach)

Spokojnie...
wkrótce przestanie działać narkoza

* * *

Pisz dalej
– mówi córka oparta o moje ramię –
a ja przewracam kolejną kartkę
kłamstw i szukam przerośni
po której mógłbym trafić
pod właściwy adres
bo choć nie znam kodu
to na mojej scenie
sufler niezawodnie
i na czas
podpowiada odpowiednią
kwestię
(okazuje się
że to tylko kwestia
czasu)

* * *

Może kiedyś
gdy wszystkie rude cyganki
będą mówiły prawdę
gdy mury przestaną być
miejszem dla haseł i ubogiej śmierci
gdy już nikt nie powie
fuck
nie będzie tylu niepotrzebnych
wierszy
właśnie wtedy
ktoś wyłączy telewizor
i zapali światło

Piosenka z przeszłością

Odkładałam książkę
twoja twarz w złotej ramce
jak mona lisa
uśmiecha się dobroliwie
czuję ten oddech
który mnie otacza
jak wilgoć na szyi

Przytulaj się
przytulaj
mów miłe słówka
mów
rozgarniaj ciszę
między nami

Każde zdjęcie
postać z przeszłości
uśmiecha się dobroliwie
aż robi się ciemno
z miłości z ubiegłego wieku
a pamiątki
nie mieszczą się w szafie

Sławomira Sobkowska- Marczyńska

Do Ciebie

Uspokój
moje pytania
o początek i koniec,
o przenikanie się dobra i zła,
o zniewoloną wolną wolę
obciążoną brakiem pewności,
o wiarę w modlitwę
klęczących przed ołtarzem,
o istotę milczenia,
o Ciebie, Boże.

Wybacz
nieporadną codzienność,
rozproszone skupienie,
rozbiegane natchnienia,
niepozyskane dary.

Zrozum
usilne starania,
aby być lepszym,
niż się jest.

Podaruj
jeszcze jedno
technicznie siebie.

* * *

na opuszczonych tarasach
dawnego kurortu
piasek zaciera
niedokończone epizody

liczy ich
powtarzalność
i zmienność

zsuwa się ze schodów
przytula do śladów
tamtych dni
wzbija do lotu
ociera o krzyk ptaków

śledzi wędrówkę słońca
ulega wiatrowi
szuka strzępów dawnych rozmów
i milczeń

* * *

stałam na moście

promienie słońca
nie mogły się przedostać
przez warstwę szarości

czułam NIC
NIC było wielkie
przeźroczyste
i bezwonne
nikt mnie przed tym nie ostrzegął
wciąż tylko że sens i się cieszyć

ale NIC rośnie
i zdjęło kolory z rzeczy
i snów
nie odeszło

zapało się

Kolorowa szarość

są białe noce
którym brakuje snu
i białe welony
nie dające pewności

są czarne myśli
które pchają
w przyszłość jak w przepaść
i czarne buty na ostatnią drogę

jest też
czerwona róża

wspominająca do bólu
tamte chwile

i zielona trawa
po której biegają się
boso
beztrosko

Jerzy Stasiewicz

Sumienie i donos

Paliłem tomy wierszy Mistrza Konstantego
w przekonaniu nie czynię Kalliope nic złego?
Księgi stare sprzed półwiecza. Strony czarne
jak zęby fiakra. I brud się do dłoni garnie.
Kurz nos zatyka, gardło gryzie jak pies

intruza.
Jednak sumienie? Gałczyński! „pierścień
i róża”.

W tej poezji rosnę podłotek w ojca kuźni
skrobiący kredą wiersze na lemieszach.

Późną
przy świecy chłonący liryki złodziejasek.
Śmiał się z tego w pas płomień w palenisku
z blachą.

I dzwoniło kowadło głucho... jakby grobem?
Płonął na kartach Wit Stwosz, płonęła i Niobe.
Z nimi w ogień oprócz ludzi szła gęś zielona,
fiaker, dorożka i zaczarowany koń konał?

Czułem swąd spalenizny – piroman szatana.
Wrota poezji zamknięte! Otwarta brama?

Zajechała pod kuźnię landara trzykonna –
do podkucia? Od rozwory... serwus madonna
zakrzyknął głos stłumiony jakoby z otchłani?
Widząc „Siódme niebo”, kustosza ciszą
zamilkł.

Pamiętam, przyleciały akurat bociany.
Sąsiad szopę budował. Ksiądz stroił organy.
Bo miał być biskup z nowo utworzonej kurii.
Sprzątano kościół. Anton włókł bukiet

anturium.
Z nim w trzy dni poszedł do świętego Piotra
donos złożyć na Jerzego by dostał kotła!



Eugeniusz Kurzawa

Powieść kryminalna jako zwierciadło epoki

Od dawna zamierzałem wyrzucić z siebie nieco przemyśleń na temat powieści kryminalnej, milicyjnej, sensacyjnej rodem z Polski Ludowej, ale jakoś trudno mi było się zmobili-zować. Zwykle pojawiało się coś ważniejszego do napisania. Może dlatego, że temat jest prze-brzmiały, a tamta epoka nieubłaganie prze-chodzi do lamusa? Lata jednak płyną i nie ma co sprawy odsuwać. Starzeję się i dawny pol-ski kryminał również. Nie planowałem prze-prowadzać mądrych analiz, dłużyć w treści sensacyjnych lektur, uogólniać swych poglą-dów na temat zalet i wad tego rodzaju dzieł. Nie mam zbyt mocnych podstaw do tego. Nie prowadziłem badań, raczej obserwacje, dla-tego chcę podzielić się jedynie różnej głębo-kości oderwanymi myślami, gdyż – mimo pew-nych minusów – uważam te pozycje za cha-rakterystyczne dla epoki i warte omówienia. A że opisywany w tamtych książkach okres był jednocześnie czasem mojej młodości, chętnie do niego wracam, licząc zresztą, iż nie jestem w tym osamotniony.

Chcę stworzenia tego rodzaju tekstu wzięła się stąd, że od lat 90. XX wieku – i jesz-cze do niedawna – zaczytywałem się w tanich kryminałach, głównie polskich, wykupywa-nych przeze mnie w antykwariatach, zdarzało się, w cenie 1 zł za sztukę. Wygodniej było mi wtedy pojechać samochodem i dokonać szyb-kiego, nieomal hurtowego zakupu niż szukać czegoś podobnego w treści po bibliotekach, ewentualnie nagabywać znajomych kolekcjo-nerów kryminałów. Choć z tych możliwości także korzystałem. W swoim czasie antykwaria-riaty puchły od tego rodzaju literatury, gdyż wiele osób pozbywało się dawnych polskich rarytasów, znanych serii, i zapewne kupo-wało nowe pozycje, tym razem już sensa-cyjno-polityczne i tzw. thrillery, szczególnie – jak się z czasem okazało – prostackie robótki made in USA.

Seria „Srebrnego Kluczyka” i inne

W ten sposób stałem się właścicielem sporej biblioteczki kryminalnej składającej się z publikacji wydanych w ramach „Klubu Srebrnego Kluczyka” (edytor: „Iskry”) i „Czy-telnikowskiego” jamnika (bez nazwy, ale z charakterystycznym jamnikiem na okładce) – najbardziej chyba uznanych serii tego typu w okresie PRL. Łykałem też serię „sensacyjno-kryminalną” KAW nieposiadającą nazwy, ale za to drukowaną w charakterystycznych okładkach z użyciem koloru różowego (także na grzbiecie książki). Był ponadto MON-owski cykl szpiegowski pn. „Labirynt”, typowo milicyjny pt. „Ewa wzywa 07” (druk w formie zeszytowej) i inne.

Potem, po zmianie ustroju, w okresie tzw. drugiego kapitalizmu dominowały w Polsce już nowe w formie, krzykliwe okładki zachod-nie i roilo się od licznych „genialnych” pod względem edytorskim pomysłów sensacyj-nych. Wielu domorosłych wydawców chciało się szybko dorobić, wypuszczając na rynek czytelnicy (ten na ulicznych polowych łóż-kach) pełne błędów tłumaczenia, jakieś krót-kie i nieudane serie. Ale to mnie teraz nie inte-resuje. Nakłady naszych (socialistycznych) kryminałów powalały. Dziś nawet noblistów nie wydaje się w 100 tysiącach egzemplarzy (zresztą obecnie nie podaje się zazwyczaj wy-sokości nakładu). Natomiast wówczas 50, 100, lub 120 tys. egz. to była norma. I chyba niezły zysk dla wydawnictw i piszących.

Jeśli zatem przeczytało się setki tego roz-dzaju książek, to chciałoby się z kimś podzielić wiedzą wysnutą z lektur, ewentualnie podys-kutować o dziełach, ich bohaterach lub auto-rach, gdyby znaleźli się chętni do rozmowy. Bo temat wciąga, prawda?

Nie pamiętam, kiedy i dlaczego ponownie wpadła mi do ręki pierwsza z tych powieści (mówię o dobie obecnej, przełomie XX i XXI wieku). A raczej powinienem napisać, iż nie wiem, kiedy wróciłem do tego gatunku. W młodości bowiem wiele tego typu książek za-lizyłem od ręki, po prostu pochłoniętem, w tym klasykę zagraniczną z Arthurem Conan Doyle’em (Holmes), Agatą Christie (Poirot), Mauricem Leblankiem (Arsen Lupin), George-sem Simenonem (komisarz Maigret), Ray-mondem Chandlerem i z naszym Joe Alexem. Pierwszą lekturą kryminalną w życiu były z pewnością „Przygody księżna Browna” Gil-berta K. Chestertona, wypożyczone w okresie podstawówki z biblioteki parafialnej – za-chwalane przez panią katechetkę.

Schemat, schemat

Zostawmy jednak początki moich zainte-resowań sensacją i przejdźmy do przegadania kryminałów z epoki budowania socjalizmu, tzn. pisanych w tamtych latach i tego okresu (1945–89) z grubsza dotykających. Ich akcja toczyła się w Polsce Ludowej, a więc w cha-rakterystycznym, minionym okresie naszej państwowości. Mamy (mieliśmy) w tym wy-padku do czynienia z powieściami wybitnie schematycznymi, nierzadko główni (pozy-tywni) bohaterowie występowali w kolejnych książkach i tamże (do bólu zębów) powielali schematy zaplanowane przez autora. Powta-rzalność zachowań ludzi, poczynań służb, urzędowych mechanizmów była także ele-mentem ustroju (zresztą chyba każdy system ma to do siebie). Z czego chętnie korzystali

przestępcy. Wertując kartki kryminałów z przeszłej (już 35 lat temu) epoki, przypomi-namy sobie jej realia, biografie ludzi, działania instytucji, przedsiębiorstw, w tym (bywało niewydolnych) organów państwa. I panujący nad tym wszystkim nieuchronny wzorec.

Przestępca był z natury zły, zepsuty, czę-sto miał niewłaściwe pochodzenie społeczne, czyli arystokratyczne lub inteligenckie, ewen-tualnie artystyczne. Ubierał się ekstrawa-gancko (ale mógł też nosić się na szaro, żeby wtopić się w otoczenie), miał długie włosy. Nierzadko był samotnikiem albo osobnikiem wiodącym podwójne życie. Mógł bowiem być ukrytym Niemcem albo banderowcem – to najczęstsze sytuacje. Jeśli Polakiem, to jego czyny bywały podszyte chęcią lepszego, wy-godniejszego życia lub wyjazdu na Zachód. Za-wodowo mógł się lokować w centrali handlu zagranicznego albo być badylarzem czy han-dlarzem antykami. Albo inżynierem na do-robku. Śmieszą dziś te austriackie kafelki do łazienki, które złoczyńca kupował gdzieś za granicą i woził samochodem. Lub poszukiwał ich (kombinując oczywiście) na polskim czar-nym rynku. Bywało, iż za te kafelki, merce-desu lub konto w Wiedniu, Monachium albo Paryżu sprzedawał się „zachodnim ośrod-kiem”. Najczęściej niemieckim, choć również pojawiała się agentura innych państw. Nie brakowało paskudnego wujka z Hameryki. Niektóre przestępstwa, zwłaszcza gospodar-cze, śmieszą, jako się rzekło, szczególnie jeśli ma się ogląd współczesnych XXI-wiecznych przekrętów na skalę, która wręcz podcina sza-remu człowiekowi nogi i ścina mózg.

„Nasi” w akcji

Po odkryciu przestępstwa, najlepiej mor-derstwa, do akcji włączali się „nasi”. Punkt drugi schematu. Komendant wydziału krymi-nalnego milicji na szczeblu centralnym – dawny partyzant z lasu, nieustannie palący szkodzące mu papierosy lub trzymający w biurku flaszkę koniaku dla przyjaciół – zwoły-wał u siebie w biurze naradę. Przy stole zasi-a-dywały zwykle kilku panów (pań brakowało, pracowały tylko w sekretariacie albo w ja-kichś odległych „analizach” i laboratoriach), którzy wysłuchiwali relacji z ustalonego wstępnie przebiegu wydarzeń. Sprawoz-dawcą mógł być skromny podporucznik mili-cji przybyły z prowincji: z województwa olsz-tyńskiego, rzeszowskiego lub kieleckiego. Wiadomo od razu, że lokalna milicja jest za słaba, żeby rozwikłać problem. Może tylko wstępnie opisać przebieg przestępczej akcji, a potem pomagać (od działań jest Warszawa – centrala; to też modelowe). Wśród członków

narady siedzi bowiem doświadczony (znany z innych poczyniń i wcześniejszych powieści) major, kapitan, a prywatnie młodszy kolega szefa-partyzanta, mający w zespole mało rozgarniętego porucznika i starego sierżanta – to oni przejmą śledztwo od gościa z prowincji. Major niekiedy jest wzywany z urlopu albo przesuwa mu się odejście na emeryturę. Wiadomo, nikt inny nie da rady. Pułkownik, „Stary”, czyli partyzant, od razu zagania pracowników do działania, żąda wyników, bo inaczej Góra urwie mu głowę. Nie ma tłumacza, bierzcie się, towarzysze, do roboty! Sekretarka sprząta pełne petów popielniczki.

Robota rusza. I nowe-stare elementy. Zaczynają się przesłuchania, często bywające skutkiem wezwań do tzw. pałacu Mostowskich w Warszawie (komenda miejska MO), albo wyjazdów bohaterów milicjantów do podejrzanych. Niekiedy bowiem losy powieści toczą się w Krakowie, na Mazurach lub Bieszczadach, ale z zasady wątki i tak zbiegają się w Warszawie. Poznajemy topografię miasta, jego podejrzane lokale, trudne dzielnice i ulice, także (przelotnie) podstołeczne miejscowości, zwykle siedziby typów niedwuznacznej konduity, miejsca usytuowania „dziupli” (gdzie gromadzi się kradzione samochody), melin etc. Ale niemal zawsze Warszawa, Warszawa. Niestety. Centralizm (zresztą do dziś, choć ustrój inny, nic się nie zmieniło).

Przy okazji przesłuchań, wizyt na melinach i w lokalach objawia się galeria typów, z którymi dzielni mundurowi mają do czynienia: paskudni cinkciarze i badylarze, posiadacze warsztatów samochodowych prowadzący lewe interesy, podejrzani kolekcjonerzy malarstwa lub cennych znaczków, pokrętni adwokaci, prezesi i reprezentanci paru innych profesji. Raczej nie ruszało się profesorów. Wredni mogli się za to okazać docenci lub doktorzy, no i magistrowie każdego typu. Rzadko się zdarzało, żeby autor kryminału wyszedł poza sztampe i stworzył postać, powiedzmy, uczciwego i dobrego pisarza; jeśli takowy typ się pojawił na scenie, to albo był wyjątkowo głupi i grafoman, albo leniwy i pijak. Podobnie adwokat, mechanik samochodowy, handlarz staroci. Normalności i przeciwwagi dla schematów brakowało. Nie przypominam sobie ani jednego skorumpowanego, złego lub choćby leniwego milicjanta.

Gdzie uciekać?

Śledztwo tymczasem trwało i trwało. Niekiedy nawet przybywało trupów i podejrzanych. Szczególnie jeśli tok zdarzeń rozgrywał się na wczasach albo w starym pałacu, domu pracy twórczej w bliżej nieokreślonych lasach czy górach. Bywało, iż nierozgarnięty, ale w gruncie rzeczy dobry porucznik-pomocnik popełniał przy tej okazji drobne błędy i odsuwał w czasie rozwiązanie zagadki, lecz wreszcie stary wyga major (główny bohater powieści) mógł zameldować kolede–partyżantowi, iż morderca jest już–już na widelcu. Wypada tylko pojechać na Mazury i usidlić. Notabene często przestępcy uciekali (w ostatnim akcie determinacji) do Gdańska lub Szczecina /

Świnoujścia, gdzie mieli zaklepany wcześniej zagraniczny statek, którym szykowali sobie ucieczkę. Oczywiście nie załatwiali sobie całego statku tylko kajutę, ewentualnie „lewe” miejsce pod pokładem. Rzadko natomiast złończyń planowali uciekać drogą przez Świecko (do NRD?), a nigdy przez Brześć do ZSRR lub choćby przez Kuźnicę na Białoruś czy do Wilna. Zdarzały się zatrzymania w Zembrzydowicach (pociąg) na granicy z Czechosłowacją.

Ostatecznie zawsze sprawiedliwość zwyciężała, a doświadczony major wykladał „kawę na ławę” podczas ostatecznej narady u pułkownika-partyzanta. Przestępca wówczas już był zatrzymany, zastrzelony lub ginął w wypadku samochodowym przez siebie wywołanym (po ucieczce do Świnoujścia kradzioną ciężarówką). Niekiedy, po zakończeniu narady, pułkownik zatrzymywał na krótko kolegę-majora, wyciągał z biurka koniak (tylko „po maluchu”), lecz niekiedy także go po przyjacielsku strofował. Bo śledztwo trwało stanowczo za długo. Albo Góra już–już chciała kogoś zwalniać. Czy jakoś tak...

Pamiętam, jak po przeczytaniu pod rząd kilkunastu prac (a czyta się je łatwo, szybko, można więc łykać po parę pozycji dziennie) wręcz uwierały mnie psychicznie ewidentne felery tych „dzieł”, wkurzała powieściowa sztampa, białe-czarne wzorce. Ziryutowany rzucałem książką, wyklinałem autora, lecz... po czasie wracałem do lektur. Niektórych autorów zresztą dało się czytać, podejrzewam, iż byli to uznani literaci dorabiający sobie pod pseudonimami, bo zarobić – przy takich nakładach – można było nieźle. Nazwisk twórców kryminałów nie wymieniam, gdyż jest ich legion, zresztą uczynił to w mocno przesmiwym kontekście uznany poeta i tłumacz Stanisław Barańczak.

Pomoc Barańczaka

W przebrnięciu przez tę czarno-białą „arcydzielność” i fabularny schematyzm polskiej produkcji sensacyjnej pomógł mi właśnie Stanisław Barańczak i jego „Książki najgorsze”. A było tak... Pod koniec 2010 roku szykowałem się (kolejny już raz) do napisania paru zdań o powieści milicyjnej, gdy niespodziewanie z półki z krytyką literacką wypadły mi zakurzone „Książki najgorsze i parę innych ekscesów krytycznoliterackich” (wydanie drugie z 1990 roku). Usiadłem i jako odtrutkę na zatrucie polskim kryminałem potraktowałem znakomite analizy Barańczaka dotyczące „moich ulubionych autorów” i ich bohaterów, o których „przed chwilą” czytałem. W zasadzie nic dodać, nic ująć ze złośliwości poety i krytyka z Poznania, mieszkającego do śmierci w USA. Wiele z tego, co pisał i wytykał „kryminalistom”, zgadza się z prawdą historyczną, choć w sprawie oceny działalności literackiej niektórych twórców i redaktorów (idzie o Aneks w pracy Barańczaka i sprawę pokolenia literackiego „Nowych Roczników”) zgody nie ma.

Zmieniła się jednak perspektywa. To nie rok 1981, gdy Barańczak książkę składał do druku w nielegalnej oficynie Kos, ani nawet

1990, w którym pisał wstęp do drugiego wydania, lecz XXI wiek, w którym przypominałem sobie szkice poety, tłumacza i krytyka. Barańczak sugeruje na wznowionych kartach, iż opisywana przez niego grafomania lat 70., będąc na usługach minionego ustroju, szkodziła literaturze polskiej. Przepowiada też (rozśądnie), iż podobnie może być z grafomanią wolnorynkową, którą niesie kapitalizm (wstęp do drugiego wydania pisał w 1990 r., a ja pamiętam, mieszkając wówczas w Białymstoku, za lew zachodniego chłamu na bazarach, stoiskach ulicznych już od przełomu 1988/89). Ta przepowiednia się sprawdziła. Zresztą, cóż za przepowiednia?! Barańczak, mieszkając w USA, widział i znał „cały ten chłam” na co dzień.

Nie wiem jednak, co gorsze – grafomania na usługach państwa, ustroju (jak bywało w PRL, ale również w USA i wielu krajach Zachodu) czy grafomania będąca towarem zastępowym i wypierającym dobre książki, dzieła literackie, czego doczekaliśmy się z rozwojem kapitalizmu. Zauważmy, że ongiś to zjawisko – piętnowane przez Barańczaka bardziej z przyczyn politycznych niż literackich – nie ograniczało druku literatury wysokoartystycznej, na którą był wtedy większy niż dziś popyt, wynikający chociażby ze snobizmu lub z obowiązkowego kanonu lektur szkolnych. Obecnie raczej nikt nie snobuje się na Gombrowicza, nie kupuje dzieł zebranych Miłosza, Stachury. A z kanonu lektur wypchnięto podstawowe ongiś książki.

Żarty na bok

Zostawmy Barańczaka. Wracam do sygnalizowanej na początku zmiany własnego punktu widzenia na PRL–owską powieść kryminalną, czego raczej nie uwzględniłby dziś Barańczak lub ktokolwiek z jego kolegów z byłej opozycji. Otóż przy wszystkich felerach tamtej prozy sensacyjnej warto zauważyć taki fakt: dawna powieść milicyjna stała się ponieważ (powtarzam zastrzeżenie: ponieważ) powieścią ... dokumentalną, realistyczną. Zławsza za to wydawana po 1980 roku. Nie mam pod ręką przykładów, bo nie notowałem detali, czytając książki, ale zachowałem w głowie wiele dialogów, opisów sytuacji, które – zamierzenie lub nie – oddają, sędzę, dość wiernie miniony czas.

Młody porucznik milicji jedzie zmęczony po pracy do swego mieszkania. Dostał je w bloku. Ale jest nieumeblowane, nie stać go bowiem na pożyczkę. Autor ujął to w jednym zdaniu, a przecież prawdziwym. Dlaczego porucznik nie może wziąć pożyczki w swoim zakładzie pracy? Bo regres gospodarczy dotyczył wtedy wszystkich, choć niekoniecznie równo. Albo: kapitan „pędzi” po mieście 70 lub 80 km na godzinę swoim maluchem, choć wielu kolegów zasuwa do pracy tramwajem. „Dorobił się”, ale nie ma garażu. Parkuje pod blokiem. Jak większość obywateli. I jest narażony – jak wszyscy – na kradzież radia, akumulatora lub „luksusowych” pokrowców na siedzenia.

(Dokończenie na stronie 10)

Powieść kryminalna jako zwierciadło epoki

(Dokończenie ze strony 9)

Sukcesem tamtych lat były kafelki w łazience, dębowa boazeria w przedpokoju, nie mówiąc o mieszkaniu w bloku. Syrenka, potem maluch były kulminacją marzeń młodego inżyniera. Miejsce pracy w stolicy stanowiło szczyt marzeń wiejskich dziewczyn. Poważny magister z państwowego przedsiębiorstwa dorabiał po pracy, układając boazerie mieszkańcom wielkich osiedli mieszkaniowych. Ale ci ludzie byli ze swego życia w miarę zadowoleni. I to zostało zapisane, wydrukowane. Nie brakło oczywiście opisów przekrętów polegających na kradzieży worka cementu z budowy lub skombinowaniu wspomnianych kafelków, wykorzystaniu służbowej ciężarówki do załatwienia prywatnej sprawy, wciśnięcia się do jakiejś kolejki po deficytowy towar. Celowo nie mówię o głównym nurcie przestępczym owych książek, o doktorach, adwokatach, prezesach „nurzających się” w luksusie (zresztą teraz dopiero widzimy, jaki naprawdę może być luksus). Dziś już mamy inną strukturę społeczną, inne modele życia, pojawił się wzorzec z Zachodu – konsumpcjonizm. Czy jest lepiej?!

Wymieniam tylko odpryski głównej narracji tamtych powieści, ale nieźle dokumentujące czasy PRL. Nie wyglądają na zabiegi propagandowe. Raczej autorzy – powtarzam: szczególnie po roku 1980 – tworząc świat przedstawiony, wtrącali pewne prawdziwe, realistyczne elementy. Może nawet przypadkowo, niechcący. Nie jest ich zbyt dużo, ale są i coś pokazują. I to właśnie, paradoksalnie, wydaje mi się zaletą, „niezamierzonym plusem” powieści milicyjnej. Czytałem owe książki – i wracam czasem do nich – właśnie dla tego rodzaju „kwiatków”, dla „poboczny” pokazujących polskie realia lat 70. lub 80 XX wieku. Prawdziwych opowieści o tamtych czasach jest obecnie bardzo mało. Istnieją za to instytucjonalnie specjaliści od zakłamywania Polski Ludowej. Nawet wysoko postawieni...

Eugeniusz Kurzawa

Zelów – jedna nazwa wiele miejsc

To historia o tym jak jedna mała informacja, może doprowadzić do interesujących i niezwykłych odkryć. Od kilku lat zajmuję się

genealogią mojej rodziny, a w między czasie, gdy już żadnych nowych informacji nie mogę znaleźć, także wyszukiwaniem ciekawostek na temat Zelowa w publikacjach i gazetach z XIX wieku i pierwszej połowy XX w. Jedną z takich ciekawostek sprawiła, że pomyślałam „Ale o co tu chodzi? Gdzie Zelów, a gdzie okręg lwowski?”.

Poszukując informacji o rodach szlacheckich, które mogą mieć związek z Zelowem, trafiłam na publikację „Herbarz Polski; Wiadomości historyczno-genealogiczne o rodach szlacheckich”, a w niej informacje o rodzie Czerniejewskich herbu Korczak z Czerniejewa, w ziemi lwowskiej. Otóż Benedykt, kasztelan halicki otrzymał od księcia Witolda dobra Liszków, Zelów, Przeorsk, Żórawce, Cieleż i Czerniejów, w okręgach: lwowskim, bełskim i żydaczowskim. I tu naszło mnie pytanie. Jaki związek ma nasz Zelów w ziemi sieradzkiej z rodem Czerniejewskich z ziemi lwowskiej? Na rozwikłanie tej zagadki musiałam długo poczekać, aż dotarłam do informacji z 1495 roku o wsi Zelów (już nieistniejącej), niedaleko obecnej miejscowości Tucznia w woj. lubelskim. A to niejedyna, równie intrygująca ciekawostka.

Co byście pomyśleli czytając notatkę prasową z 1848 roku, że Cesarz przebywa w Zelowie o pół dnia drogi do Berna? [„Gazeta Narodowa” z 1848, nr 142]. W środkowych Czechach znajduje się miejscowość, która w czasach Austro-Węgier nazywana była z niemiecka „Seelau”. Jest to miejscowość Żeliv, której nazwa wywodzi się od imienia Žela (Želislava) lub od słowiańskiego słowa „želj” oznaczającego wzgórze lub kopiec, a położona jest na trasie z Pragi do Brna. A jakby tego było mało, to w zachodnich Czechach, niedaleko granicy z Niemcami, położona jest miejscowość Zelina, której niemiecka nazwa to też Seelau.

Na ślad kolejnego Zelowa trafiłam dzięki nazwisku von Zelow. Nazwisko to spotykane jest w Niemczech, a związane jest ze szwedzkim rodem rycerskim pochodzącym z Polski, z Kaszub. W powiecie wejherowskim, około 26 km od morza bałtyckiego znajduje się miejscowość obecnie nosząca nazwę Zelewo (w języku kaszubskim Żelëwò). W historycznych dokumentach można natknąć się jednak także na nazwy Zelow, Selow, Selau, Selaw, Zelewo. Prawda, że wyglądają znajomo?

Również na Pomorzu, ale zachodnim, niedaleko Gryfina nad jeziorem Miediewie, leży miejscowość Zelewo, a jezioro na południowy zachód od tej miejscowości nazywane było Seelowsee (obecnie Zelewo). Niemiecka nazwa tej wsi to Seelow lub Selow (Zelow). Taką samą nazwę „Selow” ma nasz Zelów w niemieckim atlasie geograficznym z końca XIX wieku.

W publikacji „Slavia Occidentalis, t. 8”, z 1929 roku, autorstwa Mikołaja Rudnickiego wymienione zostały 3 miejscowości o podobnej nazwie Zelow. Jedną z nich przed rozbiorem dzielnicowym leżała w ziemi lubuskiej i była w obrębie Archidiecezji Gnieźnieńskiej. Obecnie jest to niemieckie miasteczko 26 km od Kostrzyna nad Odrą, którego nazwę wymawia się „Zelow”, a jego niemiecka nazwa to Seelow. Na wzgórzach obok miasta odbyła się ostatnia wielka bitwa II Wojny Światowej, w której starły się wojska niemieckie i radzieckie.

Przegrana Niemców otworzyła wojskom radzieckim drogę na Berlin. W publikacji „Dzieje Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy XIII wieku, t. 4” miejscowość ta zapisana została jako Zelów, a pierwsze wzmianki o niej jej pochodzą z 1252 roku.

Kolejną wymienioną we wspomnianej publikacji miejscowością jest obecne Szelejewo, osada położona w województwie wielkopolskim, w powiecie gostyńskim. Historyczne wzmianki wspominają też o nazwie Zelow lub wręcz Zelów (taką nazwę znajdziecie w Słowniku Historyczno-Geograficznym Ziemi Polskich w Średniowieczu). Pierwsze historyczne wzmianki o tej osadzie pochodzą z 1246 roku.

Na koniec zostawiłam największą ciekawostkę. W „Slavia Occidentalis” (t. 8) nasz Zelów (inne nazwy Żelów → Zelow) został również wymieniony, a data pierwszej wzmianki pokrywa się z zapiskami Jana Łaskiego. Ale istnieje dokument, który tę datę przesuwają jeszcze wcześniej. W roku 1877 wydana została publikacja „MONUMENTA MEDII AEVI DIPLOMATICA – ZBIÓR DOKUMENTÓW ŚREDNIOWIECZNYCH DO OBJAŚNIENIA PRAWA POLSKIEGO ZIEMSKIEGO SŁUŻĄCYCH” autorstwa dr Franciszka Piekosińskiego (historyk, prawnik, wykładowca UJ i członek Akademii Umiejętności), a w niej opublikowano przedruk dokumentu, w którym książę Kazimierz II Sprawiedliwy nadał dobra klasztorowi Cystersów w Sulejowie. W dokumencie tym wymienione zostały miejscowości:

- Sulejów,
- Standau, dziś Tądów, par. Jeziorsko,
- Schelin – Zelów, wieś w obwodzie – sieradzkim, powiecie szadkowskim, parafii Buczek,
- Cheniram, to współcześnie Ciemin, par. Doobra,
- Siborius, dzisiejsze Dzierzborki, wieś w tej samej parafii,
- Strassoviz, miejscowość Straszów gm. Kościelec,
- Domaslovitz, dzisiejsze Domiechowice,
- Stampiz, Czapleniec, w czasach współczesnych jest to część Bełchatowa, od której nazwę wzięła ul. Czaplinska.

Według tego dokumentu klasztor w Sulejowie został założony w 1176 roku, a nadanie tych dóbr nastąpiło między 1176 a 1178 rokiem. Tak więc historię naszego Zelowa możemy przesunąć co najmniej o 200 lat. Dokument ten znajdował się w zbiorach hrabiego Leona Ryszczewskiego w Warszawie. Skąd wiadomo, że Schelin, to Zelów. Właściwie nie wiadomo. Nie udało mi się jeszcze znaleźć mocnego potwierdzenia w dokumentach czy słownikach geograficznych, ale... łacińskie „sch” czytane jest jako „sz”. Czyli mamy w wymowie Szelin lub Żelin (pamiętacie słowiańską nazwę wzgórza „želj”?). Oczywiście, to są tylko moje spekulacje. Jedno jest jednak pewne, że wszystkie wymienione nazwy miejscowości mają swoje źródło w zapomnianym już słowiańskim słowie. A nasz rodzinny Zelów miał w przeszłości wielu braci i kuzynów.

Grażyna Słama-Ugorska

Tatiana Mielcarek

Wolność między prawdą a iluzją

Temat *Wolność między prawdą a iluzją* noszę w sobie od dawna. Od lat zastanawiam się, czy wolność – ta, którą tak często utożsamiamy z wyborem – nie staje się paradoksalnie największym zniewoleniem, gdy gubi prawdę, gdy oddala się od odpowiedzialności. Czy humanistyka, karmiąc nas pytaniami i wrażliwością, nie jest dziś jedyną przestrzenią, która ocala człowieka przed pustką iluzji wolności pozornej: wolności „od”, a nie „do”?

Pragnę zaznaczyć, że prawdziwa wolność dojrzewa w dialogu z sumieniem, wartościami, drugim człowiekiem – i że tylko humanistyka potrafi uczyć nas tej cichej odwagi: widzenia, rozumienia, współodczuwania.

Bywają lekcje, które nie zaczynają się od podręcznika, ale od ciszy. Ciszy, w której patrzę na młodych ludzi siedzących naprzeciw mnie i widzę w ich oczach pytania, których nikt nie nauczył ich wypowiadać: Kim jestem? Czy mogę być sobą? Czy świat pozwoli mi istnieć na mój własny sposób?

Współczesny uczeń coraz częściej mówi: „Chcę być wolny”, „Nikt nie będzie mi mówił, jak żyć”.

A jednak w tym samym czasie boi się jednej rzeczy najbardziej – oceny. Nigdy wcześniej młody człowiek nie miał tylu możliwości, a jednocześnie nigdy nie był tak bardzo zagubiony w pytaniu: – Czy to, co pokazuję światu, to naprawdę ja?

Współczesna wolność często przybiera formę pozorów. Młodzi mówią o niezależności – pragnąc akceptacji. Chcą być inni – ale tylko wtedy, gdy inni ich za to pochwalą. Ich bunt nie zawsze jest poszukiwaniem prawdy. Czasem jest tylko lękiem przed samotnością.

Czesław Miłosz w „Który skrzywdziłeś” ostrzega, że wolność bez odpowiedzialności staje się przemocą ducha:

*Który skrzywdziłeś człowieka prostego,
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,
Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta...*

Warto zatrzymać się nad tym określeniem: „człowiek prosty”. U Miłosza nie oznacza ono kogoś naiwnego czy niewykształconego. Przeciwnie – „człowiek prosty” to człowiek prawdziwy. Ten, który nie tworzy masek, nie posługuje się ideologią ani retoryką. Żyje w prawdzie codzienności, w lojalności wobec własnego sumienia. To w nim zawiera się miara dobra i miara krzywdy.

To właśnie jego najłatwiej zranić – bo nie broni się władzą ani ironią. Dlatego największą winą jest „śmiać się nad jego cierpieniem”. Miłosz przestrzega: ten, kto gardzi człowiekiem prostym, uderza w samo serce człowieczeństwa. I choć może mu się wydawać, że jest bezkarny – „Poeta pamięta”. To poezja staje się tu głosem moralnej pamięci i sprawiedliwości.

A jest w tym jeszcze coś głębszego – paradoksalnie to właśnie „człowiek prosty” jest człowiekiem najbardziej wolnym. Nie dlatego,

że ma władzę, lecz dlatego, że nie żyje w kłamstwie. Nie musi udowadniać swojej wielkości, nie gra roli, nie ukrywa się za pozorem. Jego wolność rodzi się z prawdy – tej najcichszej, najtrudniejszej, wewnętrznej. Bo tylko ten, kto nie udaje, jest naprawdę wolny.

W takich chwilach powraca do mnie obraz Fausta z dramatu Goethego. Oto człowiek, który posiadał niemal całą dostępną wiedzę, a jednak wciąż stoi nad przepaścią pytań: „Kim jestem?”

Pragnie być kimś więcej, kimś innym, kimś ponad ludzką miarę – a jednak im bardziej sięga po nieskończoność, tym bardziej traci siebie. Faust pokazuje dramat wolności, która odzierała się od prawdy.

Człowiek pyta: Kim jestem?

A echo iluzji odpowiada:

„Bądź każdym – byle nie sobą”.

To dlatego pytanie o wolność musi stać się pytaniem o prawdę. Nie o prawdę systemu, nie o prawdę większości – ale o tę jedyną, najtrudniejszą: Czy mam odwagę być sobą, nawet jeśli nie wszyscy mnie rozumieją?

Humanistyka nauczyła mnie, że człowiek nie rodzi się wolny – człowiek wolnym staje się. Nie przez gest buntu, ale przez dojrzewanie do prawdy.

Prawdziwa wolność nie zaczyna się krzykiem, ale milczącą odwagą zadania sobie pytania: „Kim jestem, kiedy nikt nie patrzy?”

Bo można mieć prawo do wszystkiego – i nie mieć prawa do samego siebie. Można mówić swobodnie – i żyć w kłamstwie. Można być nieograniczonym – i być zniewolonym przez własny lęk.

Tu rodzi się najważniejsze pytanie mojego doświadczenia nauczycielskiego: Czy wolność bez prawdy jest jeszcze wolnością, czy tylko maską, którą zakładamy, by ukryć własną niepewność?

W powieści „Rok 1984” George Orwell przypomina, że prawdziwa wolność zaczyna się nie od prawa do wyboru, lecz od prawa do prawdy. Gdy bohater mówi: „Wolność to prawo do mówienia, że dwa i dwa to cztery”, nie chodzi mu o matematykę. Chodzi o prawo do obrony rzeczywistości przed kłamstwem. Bo kto odbiera człowiekowi prawdę, odbiera mu także wolność – nawet jeśli zostawia mu język i gesty. W świecie Orwella największym zagrożeniem nie jest przemoc fizyczna, ale kłamstwo systemowe: „2+2=5”. To symbol zniewolenia ducha. Człowiek, który zgadza się na kłamstwo, przestaje być wolny, nawet jeśli wydaje się posłuszny jedynie formalnie.

Orwell przestrzega przed światem, w którym wolność nie zostaje zakazana – ale zostaje przeinaczona. W którym można mówić wszystko, pod warunkiem, że nic nie będzie prawdziwe. A człowiek, który przestaje bronić prawdy, stopniowo przestaje bronić także siebie. Bo tam, gdzie prawda jest relatywna – wolność staje się iluzją.

W „Tangu” Sławomira Mrożka oglądamy świat, w którym wszystkie granice zostały zniesione. Wszyscy mają wolność – i nikt nie ma odpowiedzialności. Chaos, który miał wyzwać, zaczyna rodzić przemoc. Bo gdy każde „ja chcę” jest święte, z czasem zwycięża nie wolność, lecz siła.

Artur, bohater dramatu, szuka ładu, bo czuje, że wolność bez sensu prowadzi do duchowej katastrofy. Wolność, która nie pyta „po co?”, zamienia się w anarchię. Mrozek ostrzega: jeśli wszystko jest dozwolone, to w końcu wszystko staje się obojętne – a na ruinach wartości pojawia się nie wolność, ale tyrania najgłośniejszego.

„Tango” to dramat epoki, w której zburzono wszystkie zasady, lecz nie zbudowano żadnej odpowiedzialności. W tym świecie wolność nie jest dojrzałością – jest kaprysem. A człowiek, który traci sens, staje się nie wolny, lecz bezradny. Mrozek zdaje się pytać: czy człowiek naprawdę chce być wolny – skoro ucieka od ładu, który nadaje jego wolności kierunek? Jaka jest wspólna myśl Miłosza, Orwella i Mrożka? Miłosz broni godności człowieka prostego – wolności zakorzenionej w sumieniu. Orwell broni prawdy – wolności zakorzenionej w rzeczywistości. Mrozek broni sensu – wolności zakorzenionej w odpowiedzialności. Razem mówią to samo: „Nie ma wolności tam, gdzie nie ma prawdy, sensu i godności”.

Czy wolność może istnieć bez prawdy? Czy wolność bez sumienia nie staje się tylko głośną ucieczką od siebie? To pytania, których nie da się zagłuszyć żadnym sloganem. Bo wolność, jeśli utraci prawdę, zostaje tylko pragnieniem – nie drogą. A człowiek, który nie pyta o prawdę, nie staje się wolny. Staje się sprytny. Umie wybierać. Ale nie wie, po co. Dlatego o wolność pytają nie tylko poeci, wychowawcy i nauczyciele. Pytają także ci, którzy utracili nadzieję – filozofowie egzystencjalni, którzy zobaczyli człowieka nagiego, bez złudzeń, pozostawionego sam na sam ze swoimi wyborami.

Albert Camus nie wierzył w łatwe pocieszenia. Ale wierzył w prawdę. W „Człowieku zbuntowanym” pisał: Buntuję się – więc jesteścieśmy”. Bunt u Camusa nie jest agresją. Jest odmową kłamstwa. Człowiek buntuje się, gdy coś w nim mówi: „Tego nie zaakceptuję. Nie zgodzę się, nawet jeśli zostanę sam”.

To dlatego jego bunt jest moralny – nie polityczny. Bo człowiek, który buntuje się przeciw złu, ocalając choć jedno imię, ocala także swoją godność.

Camus zdaje się szeptać: Wolny jest nie ten, kto może wszystko. Wolny jest ten, który potrafi powiedzieć „nie”, kiedy trzeba ocalić prawdę.

Jean-Paul Sartre, patrząc na człowieka, powiedział jedno z najokrutniejszych, a zarazem najprawdziwszych zdań: „Człowiek jest skazany na wolność”.

(Dokończenie na stronie 12)

Wolność między prawdą a iluzją

(Dokończenie ze strony 11)

To nie brzmiało jak obietnica. To brzmiało jak wyrok. Sartre wiedział, że wolność bez prawdy staje się ciężarem nie do uniesienia. Bo jeśli nie ma granic, jeśli wszystko wolno – to w końcu wszystko jest obojętne.

Wolność bez odpowiedzialności zamienia się w nudę, pustkę, absurd. Można uciec od świata. Można uciec od ludzi. Ale nie można uciec od odpowiedzialności za własne „chcę”. A jednak obok filozofów rozpacz stoi inna postać – Don Kichot. Śmieszny dla świata, wzruszający dla serc. Nie walczy o rację. Walczy o realizację swoich marzeń. O prawo do bycia wiernym temu, co niewidzialne – choć czuje, że prawdziwe.

Świat mówi mu: „to tylko wiatraki”. On odpowiada: „to moja walka, mój sens”. Nie zwycięża – ale nie zdradza siebie. I w tym właśnie jest wolny. Bo może wolność nie zaczyna się od racji, nie od dowodu, ale od odwagi... By wciąż wierzyć – nawet jeśli świat nazywa to iluzją.

Coraz częściej słyszę od moich uczniów: „Chcę być wolny”, „To moje życie”, „Nikt nie będzie mi mówił, jak mam żyć”. A jednak w tym samym czasie widzę, jak bardzo boją się jednej rzeczy – odrzucenia.

Nigdy dotąd młody człowiek nie miał tylu możliwości, a jednocześnie nigdy nie był tak głęboko zagubiony w pytaniu: Czy to, co pokazuję światu, to jeszcze ja – czy tylko rola, którą gram? Dzisiejsza wolność bywa nie poszukiwaniem siebie, ale ucieczką przed sobą. Nie dialogiem z prawdą, ale grą z pozorem. Nie odpowiedzialnością, ale lękiem przed zobaczeniem własnej kruchości.

W mediach społecznościowych młodzi uczą się jednego: trzeba być kimś. Nie ważne kim – byle spektakularnym. Ich wolność zamienia się w presję autoprezentacji. Nie musisz być sobą. Wystarczy, że będziesz podobny do kogoś podziwianego.

Czy to wolność?

Im dłużej pracuję z młodzieżą, tym mocniej rozumiem słowa prof. Marii Szyszkowskiej: „Wolność zaczyna się tam, gdzie kończy się strach przed byciem sobą”. To jedno zdanie otwiera drzwi do innego rozumienia wolności – nie jako krzyku „chcę!”, ale jako szeptu „mogę być sobą”. Bo prawdziwa wolność nie polega na tym, by robić wszystko. Prawdziwa wolność polega na tym, by nie musieć udawać nikogo.

Profesor Szyszkowska przypomina, że człowiek wolny to ten, kto odważa się myśleć inaczej niż większość. Taki, który nie lęka się ciszy, gdy wszyscy krzyczą. Taki, który nie wstydi się delikatności, gdy świat żąda twardości. W jednym z esejów pisze: „Autentyczność człowieka wyraża się w tym, że nie zgadza się on na życie w roli, którą wyznaczyło mu społeczeństwo. Wolność nie jest walką z innymi, lecz wiernością sobie”.

Nic nie jest dziś tak trudne dla młodych, jak bycie sobą bez publiczności. Świat podpowiada

im, że powinni być oryginalni – ale tylko w taki sposób, który podoba się innym. Paradoks dzisiejszej wolności polega na tym, że każdy ma prawo do własnej opinii, ale niewielu ma odwagę powiedzieć zdanie, które spotka się z milczeniem, a nie z aplauzem.

W tym miejscu edukacja humanistyczna staje się przestrzenią ocalenia. Język polski, filozofia, literatura – to nie tylko treści. To miejsca, gdzie człowiek może zapytać: Co ja naprawdę czuję? W co ja wierzę? Czy mam prawo nie mieścić się w schemacie? Nie chcę, aby moi uczniowie wychodzili ze szkoły z perfekcyjnie dopasowanymi maskami. Chcę, by wyszli z odwagą zdjęcia tych masek. Nie chcę uczyć ich poprawności – chcę uczyć ich autentyczności. Wiem, że autentyczność ma swoją cenę. Wolność według prof. Szyszkowskiej nigdy nie była komfortem. Była ryzykiem. Bo człowiek, który mówi własnym głosem, zawsze wystawia się na samotność.

Prof. Szyszkowska przypomina, że człowiek wolny to nie ten, kto zrywa wszystkie więzy, lecz ten, który przestaje kłamać o sobie. W świecie, który promuje ekspresję, ale tłumi autentyczność, filozof staje w obronie prawa do własnego wnętrza – do wierności własnemu sumieniu, nawet jeśli oznacza to samotność.

Czego uczy Pani Profesor? Trzech trudnych lekcji wolności:

1. Odwagi samodzielnego myślenia.

Pyta: „Czy to naprawdę ty myślisz, czy tylko powtarzasz cudze zdania?”

W świecie gotowych opinii wolność nie polega na mówieniu – polega na myśleniu.

2. Prawa do duchowej niezgody.

Szyszkowska nie uczy buntu dla buntu. Uczy, że niezgoda może być aktem wierności sumieniu: „Nie muszę akceptować kłamstwa, by być akceptowanym”.

3. Troski o własne wnętrze.

Przypomina, że człowiek, który nie spotkał siebie autentycznego, nigdy naprawdę nie spotka drugiego. Wolność to nie ucieczka od innych – to wierność własnemu „ja”, zdolnemu wejść w dialog bez lęku.

Wolność, która skupia się wyłącznie na „ja”, łatwo zamienia się w egoizm. Prawdziwa wolność zaczyna się wtedy, gdy człowiek staje naprzeciw „ty” – i rozumie, że jego wybory dotyczą innych, że słowa mogą leczyć albo ranić, że milczenie może być cichą zgodą na krzywdę. Gdy mój uczeń mówi: „To moje życie, mogę robić, co chcę”, pytam go: „A co zrobisz, kiedy twoje ja chce zranić czyjeś ja nie chce?”

To jest moment, w którym wolność przestaje być zabawką, a staje się wyborem. Bo człowiek naprawdę wolny nie jest ten, który wszystko może – ale ten, który może, a jednak wybiera dobro.

Tu spotykają się Tischner i Miłosz. Obaj ostrzegają, że największym zagrożeniem dla wolności jest kłamstwo – kłamstwo o sobie, kłamstwo o innych, kłamstwo, które udaje prawdę. „Kiedy człowiek przyzwyczaja się do kłamstwa – traci zdolność wolności”. (Tischner)

Są takie teksty literackie, które nie potrzebują wielkich słów. Nie krzyczą o prawdzie – one ją niosą w ciszy. Tak działa miniatura Jana Śtepnia „Dziwny dzień”. Za każdym razem, gdy do niej wracam, widzę nie tylko scenę – widzę

pytanie, które poeta stawia każdemu dorosłemu: Czy pamiętasz jeszcze, kim byłeś, zanim nauczyłeś się bać? W tekście Jana Śtepnia dorosły człowiek chowa się przed deszczem w bramie starego domu. Obok niego pojawia się dziewczynka – bosa, rozczochrana, wolna – która wchodzi w kałużę mowi: Taki duży i boi się deszczu!

To zdanie ma w sobie więcej prawdy niż niejeden traktat filozoficzny. Bo czym jest deszcz? Deszcz to życie – nieprzewidywalne, mokre, czasem zimne, czasem radosne. A my, dorośli, zamiast iść, chowamy się. Zamiast iść boso – szukamy parasola. Najważniejszy moment tej miniatury przychodzi wtedy, gdy dziewczynka patrzy mu prosto w oczy i woła: „Zrób coś, abys znów był chłopcem!”

To nie jest wezwanie do infantylizmu. To apel o odwagę autentyczności. O powrót do tego momentu, gdy człowiek nie wstydił się zachwyty, łez, błota na stopach. Gdy był prawdziwy – zanim nauczył się grać różne role.

Dorośli szuka swoich butów – chce wrócić do porządku i powagi –ale wtedy słyszy drwiący śmiech. Jego buty stoją na dachu i mówią: Myślisz, że nas złapiesz? A kuku! To gorzka puenta. Buty – symbol roli, pozycji, maski – okazują się pułapką. W imię powagi gubimy siebie. W imię dorosłości – tracimy wolność.

I oto pytanie, które zostawia we mnie ten tekst. Czy szkoła wychowuje do zdejmowania butów, czy do ich sznurowania? Czy dajemy młodym przestrzeń, by stali się sobą – czy uczymy ich, jak grać rolę, która podoba się innym? Gdy myślę o wolności, wracam nie do wielkich słów, ale do tego obrazu: Bosonoga dziewczynka idzie przed siebie, a deszcz już jej nie przeszkadza. Ona nie pyta, co o niej powiedzą. Ona jest. A może wolność zaczyna się tam, gdzie człowiek nie musi już niczego udowadniać?

Czasem zostaję w klasie chwilę po ostatnim dzwonku. Ławki stoją cicho, światło popołudnia osiada na krzesłach, a ja myślę o młodych ludziach, którzy przed chwilą zadawali pytania, choć nie zawsze odważyli się je wypowiedzieć na głos. I pytam siebie: Czy oni uczą się u mnie wiedzy – czy odwagi?

Bo największe wyzwanie w edukacji nie polega dziś na przekazywaniu treści. Treści jest wszędzie pod dostatkiem. Największe wyzwanie polega na tym, by towarzyszyć człowiekowi, który dopiero zaczyna siebie słyszeć.

Współczesny świat mówi młodym: „Możesz być, kim chcesz”. Ale zaraz dodaje: „Byle cię pokochano”. Uczą się więc wolności, ale skrycie pragną akceptacji. Dlatego nie buntują się przeciw systemowi – buntują się przeciw samotności. Nie jestem po to, aby formować uczniów według wzorca. Nie jestem po to, by ich naginać do schematu. Jestem po to, aby im przypomnieć: masz prawo myśleć. Masz prawo czuć. Masz prawo nie być gotowy. Nie pytam ich tylko: „Co wiesz? Pytam częściej: „Co myślisz? Co cię boli? Co w sobie chronisz?”

Humanistyka – ta prawdziwa – nie wychowuje człowieka, który wszystko rozumie. Wychowuje człowieka, który rozumie, że nie wszystko można mieć bez konsekwencji.

(Dokończenie na stronie 13)

Kozetka (118)



Gwiazdka tuż-tuż

*Gwiazdy to małe, lśniąco promyki
zsyłające marzenia.*

Antoine de Saint-Exupéry

Joanna Friedrich

Z powodu naszego zwariowanego psa, mam częstą okazję spoglądać w gwiazdy tuż nad ranem i oddychać tym czystym nocnym powietrzem, którego za dnia coraz mniej.

Wycofałam się z życia towarzyskiego do króliczej nory, z której nawiguję projekt „macierzyństwo”, jest to projekt pochłaniający energetycznie, gdzie czas pełni funkcję czysto fikcyjną, a ciszy nie spotyka się często. W ogóle mało jest ciszy. Spotkać ją można równie rzadko jak dobrze widoczne niebo pełne gwiazd.

Tak spuchł cywilizowany świat.

Biegnę więc ostatnio za tym moim nicpo-niem niecnotą, wiecznym uciekinierem, który jest nie tylko brunetem w owczej skórze, ale chyba w poprzednim wcieleniu był zającem (jeśli nie kangurem), tak skacze.

Trafiamy w zachęcającą zieloną omszoną alejkę, którą chodzą tylko sarny. Jest bezwietrznie, więc idziemy coraz dalej i dalej, bez końca (na początek w razie czego zaciągnie mnie na powrót pies), drzewa mają konary coraz grubsze i grubsze. Żywe kolumny rzeźb. Matka Natura szeleści spódnicami i automatycznie w tym momencie staje mi przed oczami Matka Natura z „Kajka i kokosza”, zawsze się wtedy uśmiecham. I nagle cisza. Ani jednego ptaka, ani nawet ślimaka. Zielono-złoty jesienny bezruch-puch. Stanęliśmy jak zaczarowani. Trzeba przejść kilka lat kroków, żeby tu trafić.

Tak żyją kursanci mindfulness.

I nagle jest, Oko cyklonu: Złote drzewo jak

z japońskiej bajki na środku okrągłej polany obsypanej na złoto.

Medalion/Mandala Matki Natury. Złote confetti. Złoty środek. Od takich widoków można się uzależnić.

Wracam do domu, gdzie pocziwy algorytm wyświetla mi tekst o przytulaniu się do drzew – które działa na co. A w nocy śnię, że łapię królika w kolorze i strukturze ubitej śmietany, wielkości naszego psa na małą skórzaną kółkę-uzdeczkę-kantar. Jak to w śnie. W rzeczywistości królika łapiemy od spodu, za brzuch, to nie kot. Czy to wyobraźnia wodzi mnie za nos, czy to tylko senna tautologia?:

Dostaję list od Doktora Pai-Chi-Wo, w którym pisze, że pisać należy tak, jakby nie znało się autora.

(Może nie tylko pisać)

Ładne rzeczy, dopisuję to do listy noworocznych spraw, bo, jak wiemy, grudzień to najkrótszy miesiąc w roku, ledwo zdążysz spakować prezenty i Sylwester – już.

Tuż-tuż. Wrzuć na luz. Mind your mind. Blues. Ale w czerwieni się mieni...

1. Tak ciepłego listopada nie pamiętam.

2. Dokończyć malować niedokończone mandale.

3. Nie martwić się wcale.

4. Pachnieć Saint Laurentem, bo dziś Saint Laurent:

powiew wolności i kreatywności.

Nic na siłę. Per aspera ad astra!



Wolność między prawdą a iluzją

(Dokończenie ze strony 12)

Nie uczę ich, jak zwyciężać. Uczę ich, jak nie kłamać by być sobą. Być nauczycielem humanistą to nie znaczy mieć odpowiedzi. To znaczy stać przy pytaniach – także wtedy, gdy uczeń się boi, gdy milczy, gdy nie potrafi jeszcze

nazwać tego, czego szuka. Czy wolność jest celem, do którego prowadzą uczniowie?

Nie. Wolność nie jest celem. Wolność jest drogą, którą wybierają, gdy odważą się powiedzieć: „Nie chcę być kimś. Chcę być sobą”.

Kiedy kończę lekcję i klasa pustoszeje, siadam czasem jeszcze na chwilę w ciszy. Na ławkach zostają słowa, kartki, porzucone długopisy – a we mnie zostaje pytanie: Czy nauczyłam ich wolności? A może tylko pozwoliłam, by choć przez chwilę usłyszeli własne myśli? Nie wiem, czy można kogokolwiek „nauczyć wolności”.

Myślę, że można tylko być przy nim wtedy, kiedy sam zaczyna o nią pytać. Bo wolność nie jest umiejętnością. Wolność jest odwagą. I wtedy wracają do mnie głosy tych, którzy mi w tej drodze towarzyszą. Goethe – który ostrzega, że można poznać wszystko i nie odnaleźć siebie. Miłosz – który przypomina, że wolność bez odpowiedzialności staje się krzywdą.

Herbert – który mówi, że trzeba mieć choć „odrobinę smaku”, by pozostać człowiekiem. Marii Szyszkowskiej, która przypomina, że wolność zaczyna się wtedy, gdy kończy się lęk przed autentycznością – że nie trzeba krzyczeć, by być wiernym sobie. Tischner – który mówi, że wolność bez „drugiego” staje się pustką – a prawdziwie wolny jest ten, kto potrafi wziąć odpowiedzialność za swoje „tak” i „nie”.

Leszek Kołakowski, który ostrzega, że kłamstwo nie psuje tylko języka, ale psuje duszę – a dusza przyzwyczajona do kłamstwa traci zdolność wolności.

Jan Stępień – który pyta, czy jeszcze potrafię wejść w kałużę bez wstydu – czy potrafię choć na chwilę być tą, kim byłam, zanim nauczyłam się bać.

I wtedy pytam siebie – nie jako nauczycielka, ale jako człowiek: Czy ja sama jestem wolna? Czy umiem jeszcze zdjąć buty? Czy potrafię przyznać, że czegoś nie wiem, że się boję, że potrzebuję drugiego?

Może właśnie na tym polega moja rola.

Nie na tym, by prowadzić innych do odpowiedzi. Ale na tym, by nie zostawiać ich samych z pytaniami.

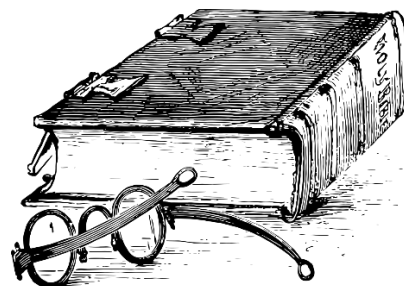
Bo może jedyną lekcją wolności, jaką naprawdę mogę im dać, jest ta, że sama wciąż jej szukam – nie w triumfie, nie w pewności, ale w drodze...

...z gołymi stopami duszy.

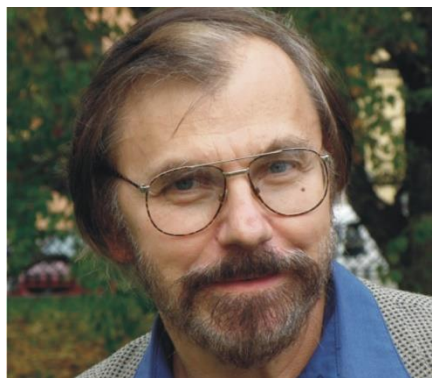
Niech każdy z nich usłyszy w sobie to jedno pytanie:

Czy mam odwagę istnieć naprawdę?

Tatiana Mielcarek



Listy do Pani A. (209)



Fot. Andrzej Dębowski

Imię Nieskończony

Droga Pani!

W poprzednim Liście do Pani okazałem się prorokiem. Napisałem bowiem na jego zakończenie: „... mam nadzieję, że jeszcze nie koniec, jeszcze się coś w moim życiu wydarzy”. I wydarzyło się. Dostałem brązową Głorię Artis. Wiedziałem o tym wcześniej, bo proszono mnie abym z tej okazji pojawił się na inauguracji Warszawskiej Jesieni Poezji, więc nie będę się krygował, że taki jestem zaskoczony. Miałem jednak na początku treść, że trzeba będzie wygłosić podziękowanie. Obawiałem się, czy wyjdzie mi to składnie, czy nikogo nie pomnę. Tymczasem niepotrzebnie. Żadnych podziękowań nie było, ani też laudacji. Wypięcie piersi, wpięcie medalu, wyp..., przepraszam: opuszczenie estrady. Niemniej było to wzruszające i bardzo przyjemne.

Pewien mój kolega przechodząc usłyszał rozmowę dwóch facetów. Jeden powiedział do drugiego: „od dawna się do Jurkowskiego należało”. A na to drugi: „tak, szkoda tylko, że tego, kurwa, nikt wcześniej nie powiedział”. To bardzo cenne zdania, dopełniające tak trudno dostrzegalny „całoksztalt” mojej przeszłości półwiecznej twórczości... Ale z wielu powodów satysfakcja, można powiedzieć, pełna. Spotkałem kolegów i przyjaciół. Uściskałem dłoń Markowi Włodarkiewiczowi, porozmawiałem chwilę z Aldoną Borowicz, przysiadłem z Kaziem Kochańskim... W takim kuliarowym rozgardiaszu trudno spamiętać wszystkich. Usłyszałem dużo życzliwych zdań, uściskałem wiele dłoni. Stwierdził mi z Aldoną Borowicz, że nasza przyjaźń pomimo bardzo długiego czasu mojej nieobecności w Warszawie wcale nie doznała żadnego uszczerbku.

Czytałem niedawno „Ostatnią cyganerię” Tadeusza Wittlina oraz „Niedyskretny urok pamięci” Tadeusza Kwiatkowskiego. Obie te wspomnieniowe książki traktują o środowisku literackim; pierwsza o międzywojennym, druga o powojennym. Obie składają się w całość. Do tej pory brak mi spotkań literackich,

rozmów w kawiarni Związku Literatów, kontaktów z kolegami, często starszymi ode mnie, co jednak w niczym nie przeszkadzało. Dziś tego środowiska już nie ma. W „naszych” miejscach kręcą się jacyś obcy, anonimowi ludzie. Podobno poeci, ale teraz poetów nieróżniących się od sztucznej inteligencji można spotkać na każdym kroku multum. Może to starcze odczucia, ale jak rozmawiałem w moimi znajomymi, to oni też mają podobne.

Ale to nie czas na malkontentstwo. Oto zbliża się czas, który powinien przynieść ze sobą wyciszenie i radość. Święta Bożego Narodzenia powinny być radosne, rozpraszać negatywne myśli i nastroje. Powinny... Nie sprzyja temu wojna, która toczy się blisko naszych granic, ekspansja zbrodni, grabienia, niszczenia narodów. To na szczęście jeszcze nas nie dotyczy bezpośrednio, co jednak nie jest gwarancją tego, że czego Hitler ze Stalinem nie dokonali, dokona teraz sam Putin.

Trudno jednak żyć samą przeszłością, ale ona jest tą ważną przestrzenią, w której znajduję iluzoryczny azyl. Więc najpierw Zawiercie, pachnąca choinka, wiszące na niej zabawki, tekturowy lis, do którego strzelałem z drucianej procy... Żyli rodzice, dziadkowie. Potem Święta „dorosłe”, rodzinne. Teraz nadal stanowią one dla mnie pewne punkty odniesienia, choćby tylko wspomnieniowe. Po prostu – ja jestem inny, inny też świat. Trudno się może z tym tak od razu pogodzić, ale przecież nie ma innego wyjścia.

Bożę Narodzenie, to nie tylko folklor, choinki, prezenty często obżarstwo i chlanko bez umiaru. Najczęściej przychodzi mi na myśl słowa koledzy Franciszka Karpińskiego: „Bóg się rodzi moc truchleje, Pan Niebiosów obnażony, ogień krzepnie, blask ciemnieje, ma granice Nieskończony”. Niech Pani zwróci uwagę, jaka się w tych słowach kryje mądrość filozoficzna i teologiczna. To skrótowny traktat egzystencjalno-teologiczny, mówiący wiele o tajemnicy Boga i człowieka. Pisałem Pani kiedyś, że nie lubię słowa Bóg. Kojarzy mi się bowiem ze starożytnymi wyobrażeniami antropomorfizowanych, groźnych bogów, jakichś wymyślonych, dalekich bóstw. „Królestwo” stworzonych na ludzką miarę. Niech Pani zauważy genialne imię: Nieskończony. Tak, to jest to. Oddaje ono Wielkość, Bliskość, Tajemnicę, Miłość. Czy nie uważa Pani, że zbyt mało w nas duchowości, poczucia metafizyki?

Nie doceniamy też prawdziwej sztuki, a zwłaszcza wybitnych osobowości, które tworzą to właśnie, co bodaj najpotrzebniejsze. Dowiaduję się, że oto bez żadnych podziękowań odchodzi Jan Englert ze stanowiska dyrektora artystycznego Teatru Narodowego w Warszawie. W ten sposób można wyrzucić połamane krzesło, ale nie wybitnego zasłużonego artystę, aktora, reżysera, pedagoga... Tak, dzisiejsi ministerialni decydenci nadają się co najwyżej do szorowania szaleńców. A i to pod specjalnym nadzorem. Co rusz mamy głupie posunięcia, marnowanie pieniędzy na idiotyzmy, figurki, ozdobniki, ale nie ma na literaturę, teatr, nawet na muzykę, nie licząc komercyjnego jęku i wycia przeróżnych szarpiutów cierpiących na konwulsje.

Może to jeszcze nie koniec świata, skoro istnieje poezja. Przesłał mi swój tomik Cezary Gawryś. To znany autor wielu książek, redaktor, publicysta, filozof, teolog. Objawił się tym razem jako poeta. I to poeta nietuzinkowy. W tomie „Niepisane” ukazuje nam świat lirycznych doznań, których inspiracją, swoistym „fundamentem” jest rzeczywistość realna. Z obserwowanych zjawisk wyprowadza Gawryś filozoficzną, egzystencjalną refleksję. Jest to swoista wędrówka po światach dalekich i bliskich, przypominająca wzruszenia dawne i nowe; pamięć i utrwalone w niej zdarzenia, spotkania z ludźmi – słowem to wszystko co się autentycznie wydarzyło w życiu poety. Jednocześnie wycucie słowa, jego znaczeń i klimatów – stanowi tworzywo tych wierszy. Utwory Gawryśa, mądre i refleksyjne, nie są w żadnym razie przeintelektualizowane. Widać w nich filozoficzną głębię, ale na pierwszy plan wysuwa się konkretna, codzienność. Oto czyjeś odejście, śmierć ukochanego kota, spacer wrony po trawniku – to wszystko nie jest bez poetyckiego znaczenia, stanowi bardzo ważną inspirację. A więc zwyczajność, tak dobrze znana każdemu, przeradza się w wierszach Gawryśa w osobiwą nadzwyczajność. Czyżby potwierdzało się kolejny raz powiedzenie, że wszystko jest poezją?

Poznaliśmy się z Cezarym chyba sześćdziesiąt lat temu. Nasz kontakt odrodził się ostatnio. Przed laty pożegnało się dwóch młodzińców, a teraz przywitało się dwóch starszych panów. Wprawdzie korespondencyjnie, co zresztą ma znaczenie drugorzędne. Najważniejsze, że się jakoś odnaleźliśmy. Proszę postarać się o ten tomik. Znakomity, refleksyjny, stanowi bardzo indywidualne spojrzenie na naszą rzeczywistość.

W podobne klimaty wpisuje się poezja Urszuli Gierszon. Otaczająca nas rzeczywistość bywa bardzo często niezrozumiała, jawi się jako pełna zagrożeń, odbiegająca do tej sprzed dwudziestu, trzydziestu lat, w której – przynajmniej z dzisiejszego punktu widzenia – czuliśmy się bardziej bezpiecznie, a nawet... komfortowo. Tak. Świat był inny, a teraz zmienia się szybko i diametralnie. W tej mierze poezja jest czułym sejsmografem reagującym na wszelkie wstrząsy artystyczne, obyczajowe, psychologiczne. Oczywiście, zależy to od wrażliwości twórców. Jednak owa wrażliwość nie obchodzi czytelnika. On obcuje przede wszystkim z dziełem, i tam szuka potwierdzeń własnych doznań, wzruszeń, lęków, fobii.

Z drugiej strony poezja nie tylko rejestruje, ale żywi się owymi niepokojami, które stanowią istotne źródło inspiracji. Taka też jest poezja Urszuli Gierszon, pełna gorzkich konstatacji, ale jednak niepozbawiona optymizmu. Oba powyższe tomy gorąco Pani polecam.

Życzę Pani dużo rodzinnego ciepła i choinkowej aury –

Stefan Jurkowski



Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

Sonety z popiołu i wódki

O niedokończonej miłości Adama Ochwanowskiego

Adam Ochwanowski w tomie „Wiersze dla Lidki... sonety niedokończone” już samym tytułem prowadzi nas w obszar podwójnej intencji i napięcia. Z jednej strony mamy „wiersze dla Lidki” – akt osobistej, wręcz intymnej adresacji, wyznanie skierowane do konkretnej kobiety, imieniem nazwanej, obecnej w każdej linijce. Z drugiej – dopisek „sonety niedokończone”, który jest nie tylko formalnym komentarzem, ale również metaforą całej sytuacji egzystencjalnej i uczuciowej. Niedokończenie to nie brak – to świadomy wybór. To gest poety, który rezygnuje z klasycznej domkniętości sonetu, by w zamian otworzyć przestrzeń dla emocji, błędu, wahania i prawdy.

Andrzej Dębkowski

W tych „niedokończonych” sonetach dominuje właśnie niepewność, zawieszenie między wyznaniem a zwątpieniem, między sacrum a profanum, między namietnością a rezygnacją. Sam Ochwanowski podkreśla, że utwory te poświęcone są „miłości jego życia – Lidki”, ale też szerzej – całej, niełatwej relacji między kobietą a mężczyzną, między potrzebą bliskości a lękiem przed utratą. Już ta rama interpretacyjna odsłania sens tomu: nie chodzi o „wiersze o miłości”, lecz o zapis samego bycia w relacji – z drugim człowiekiem, z własnym ciałem, z pamięcią i z czasem.

Poeta zwraca się wielokrotnie i bezpośrednio do „Lidki”. Użycie imienia w tak osobistej tonacji – „A ja, Lidko...”, „Popatrz,

Lidko...”, „Jest we mnie, Lidko...”, „Bądź ze mną, Lidko...” – buduje intymny dialog, a zarazem monolog będący rozmową z bytem-adresatem. To nie jest relacja anonimowa, lecz skonkretyzowana. Z jednej strony – „Lidka” może być osobą konkretną, z drugiej – symbolem, figurą kobiecości, tęsknoty, obecności i nieobecności. Wiersz zaczyna się mocnym obrazem: „Chodzi za mną uparcie Anioł dobrych chęci...”, w którym „ja” liryczne żyje w cieniu, w relacji – nie tylko z adresatem, ale także z figurą anioła, dobra, legitymacji uczuciowej. Adresacja do „Lidki” pełni rolę katalizatora samoświadomości podmiotu lirycznego: przez nią ukazuje się zarówno jego słabość („A ja, Lidko, jak zwykle – nad ziemią wysoko”), jak i jego ręka gotowa podbić oko anioła („I chulikańską pięścią podbijam mu oko”). Ten gest łączy obraz sacrum i profanum, zamierzonej czułości i zdecydowanej agresji. Wskazuje to na ambiwalencję relacji i wewnętrznego świata podmiotu lirycznego.

Już w pierwszych wersach pojawia się silne napięcie: „Anioł dobrych chęci” – figura dobra, opiekuńcza, „Poborca uczuć spuszczonego z łańcucha” – metafora wolności uczuć, ale i ich udomowienia. Podmiot mówi: „I ja... chulikańską pięścią podbijam mu oko”. To obraz, który prowokuje: wobec dobra, nadziei, przyjaźni, podmiot cytuje nie tylko czułość, lecz także akt prowokacji i oporu. Występuje kontrast: „nad ziemią wysoko” vs „nozdrza jak konia spinam, wódką kaca leczę”. Wytwarza się świat w którym sacrum (anioł, nadzieja, przyjaźń) i profanum (wódka, kac, chulikańska pięść) nie tylko współistnieją, ale wręcz wchodzą ze sobą w dialog – a może w konflikt. Taka logika – nie idealizowania, ale współzamięskania sprzeczności – daje tomowi wymiar dramatyczny i autobiograficzny. Podmiot nie stara się udawać czystości, jego liryzm polega właśnie na przyjęciu całej gamy stanów: od miłości, przez wódkę, przez kac, przez drwinę aż po nadzieję. To z kolei czyni tekst „żywym”, „uhlany”, jakby wiersz powstał nie w sterylnym studiu, lecz w barze, w nocy, w rozmowie, w tańcu z cieniem własnym („Potem znów drepce za mną cień mojego cienia”).

Choć przytoczony fragment nie zachowuje klasycznej czternastowersowej struktury sonetu w sposób jawny (liczba wersów jest znacznie dłuższa), to tytuł „sonety niedokończone” nakazuje czytać go w kluczu formy niezamkniętej, rozwleczonej – świadomie lub instynktownie – przekraczającej typowy model. Sama nazwa „sonet niedokończony” może być odczytywana jako metafora – życia, relacji, wiersza, którego puenta nie została wypowiedziana lub została przerwana. Ten otwarty układ formalny wydaje się korespondować z tematyką: miłość, pamięć, rozpacz, alkohol, śmierć, nadzieja – wszystko jest w trakcie, nie jest zakończone. W tradycji sonetu chodziłoby o zamknięcie argumentu, obrazu, puenty; tu zaś brak zamknięcia staje się znakiem autentyczności. Ponadto ostentacyjne niedokończenie może być gestem antyformalnym – pośród liryki osobistej autor odrzuca czystość formy, aby oddać nieuporządkowaną nie zwykłego życia.

Wyróżnić można kilka motywów przewodnich: motyw cienia – „Potem znów drepce za mną cień mojego cienia”; motyw pamięci, przeszłości i historii – „Jest we mnie, Lidko, rozpacz i pamięć przeklęta / Wskrzyszająca umarłych zasługi i winy”; motyw wolności i jej porażki – „Rozum, co zerwał sieci dziecięcej modlitwy / Napis: Niech żyje wolność! – w ob-skurnym szalecie”; motyw miłości-pożądania-uzależnienia – wódka, kac, żądza, kobieta, ciało; motyw boskości i bluźnierstwa – „Bóg oszalał. Człowieku – ponoć jesteś wolny”; motyw drogi – „Chodź, Lidko, ze mną – górą, chodź ze mną – doliną / Na granice bezkresne i bezdroża świata”. Połączona z tymi tropami jest intensywna obecność języka kontrastów („żywota i żywotem świętych”, „przed każdą nocą pokłóconą z rankiem”). Otwartość tych tropów umożliwia wielowarstwową lekturę – zarówno jako wyznanie, jak i jako alegoria stanu bycia.

Głos podmiotu lirycznego jest bezpośredni, często potoczny („I chulikańską pięścią podbijam mu oko”; „Nie daj mi wiary, Lidko, że wczoraj nie piłem / Że nie paliłem skręta, nie wachałem koki”). Ten rejestr potoczności zderza się z momentami poetyckiej wysokości („A ja, Lidko, jak zwykle – nad ziemią wysoko / Z czupryną rozczochraną na historii wietrze”). Taki styl stanowi mieszanekę prozy życia i liryki, co można odczytać jako program poetycki – odnosić poezję nie do wyidealizowanej przestrzeni, ale do surowego doświadczenia. Styl charakteryzują liczne neologizmy lub zaskakujące metafory („nozdrza jak konia”, „kolysankę rzewnie piękną”, „wódką kaca leczę”). To język, który nie boi się brudów życia, ani metaforyki religijnej. Równocześnie pojawia się wiele odwołań do historii, przodków, winy, zadość-uczynienia („Płacz po mężnych pradziadach, skutki i przyczyny”). Liryka więc łączy poziom mikro – relacja z „Lidką”, alkohol, ciało – z makro – historia, wolność, śmierć, Bóg.

Ważną część tomu to analiza relacji mężczyzny i kobiety, podmiotu-adresata, ale także relacji człowieka do świata, przeszłości, Boga. W wierszach podmiot liryczny mierzy się z własną tożsamością: „Wiem, panoszy się we mnie przemądrzałe dziecko / Wiejski pijany głupek, co na linie tańczy”. To deklaracja nie-ja, które dostrzega w sobie różne figury – dziecko, głupek, kobieta-postać („Dziewczynką, co w skarbonce bukiet marzeń zbiera”), żebrak („Jesteś głodem żebraków i strawą codzienną”). W ten sposób relacja z „Lidką” staje się lustrem dla tych figur, a jednocześnie dla pytania: kim jestem? Czy potrafię być z kimś, cierpieć, śmiać się, kochać? „Nie wiem, kiedy się ciebie na tyle nauczę / Abyś była, cierpiała i śmiała się ze mną”. To wyznanie niepewności, potrzeby i lęku. I w tym sensie tom nie jest triumfem miłości, lecz raczej jej dramatem, procesem.

W pierwszej części przywołany jest silny motyw pamięci: przywoływanie mężnych pradziadów, zasług i winy. To nie tylko autobiograficzne wspomnienie, ale metafora wspólnoty, historii, ziemi – autor związany

(Dokończenie na stronie 16)

Sonety z popiołu i wódki

O niedokończonej miłości Adama Ochwanowskiego

(Dokończenie ze strony 15)

jest z regionem świętokrzyskim, Ponidziem. Wiersze więc odnoszą się także do miejsca, tradycji, lokalnej historii. W kontekście tomu ważne staje się połączenie osobistej relacji miłosnej z pamięcią pokoleń – „Płacz po mężnych pradziadach, skutki i przyczyny”. W ten sposób „Lidka” może być również figurą dziełnictwa, przyszłości, nadziei, której trzeba się nauczyć. Autor nie unika także tematu wolności i jej degeneracji („Napis: Niech żyje wolność! – w obskurnym szalecie”). To mocne obrazy, wskazujące na realia historyczne i społeczne – wolność może stać się sloganem, pustą formą. Podmiot nie idealizuje.

Nie sposób pominąć obecności motywu wódki, kaca, pokera, papierosa („skreś”), koki – wszystkie te elementy mówią o cielesności, o nałogu, o upadku i odrodzeniu. Cieleśność pojawia się jako miejsce prawdy i zdrady („Pogańska strzała w sercu utkwiona zdradziecko”), jako znak nostalgii, jako aspekt miłosny („Jesteś głodem żebraków i strawą codzienną”). Podmiot liryczny widzi w sobie zarówno poetę, jak i pijaka, zarówno kochankę, jak i chuliganę („Który wiersze przerabia na dramat”). Warto odczytać to jako program – poezja, relacja, życie konserwują się nie w czystości, ale w brudzie, w kompromisie, w niedokończeniu.

W całym tekście pojawia się także motyw nadziei – choć w ujęciu niełatwym: „Jest miejsce na nadzieję i troskliwość wszelką” – ale zaraz obok bluźnierstwo: „Bóg oszalał. Człowieku – ponoć jesteś wolny”. Ten gest jest wywróceniem klasycznego porządku: zamiast Bóg-mocny-przewodnik jest Bóg-szalony; zamiast człowiek-podmiot-wolny jest człowiek-szukający, poddany syzyfowej pracy. Nadzieja nie jest czymś oczywistym, ale konstruktem, który trzeba pielęgnować mimo doświadczenia upadku, niedoskonałości, ciała i historii. Ten dualizm – bluźnierstwo i modlitwa, cielesność i transcendencja – nadaje tomowi wymiar filozoficzny. Podmiot liryczny chce wierzyć: „Wierzę, Lidko, w brzemienne świętych obcowanie / W radość ludzkich uniesień, niegroźne rozterki / W wielki świat, choć jest mniejszy od zwykłej muszki”. Ale od razu dodaje: „Płaczesz, Lidko. Nie wierzysz. I ja kurwa płaczę”. Taka szczerość daje poezji autentyczność.

„Lidka” w tych wierszach pełni wiele funkcji: jest kochanką czy partnerką, jest symbolem kobiecości, jest powierniczką, jest także figurą metaforyczną – Nadzieją, Wolnością, Przyszłością, może nawet Wierszem. Autor ją błaga: „Bądź ze mną przed zamiarem, z zamiarem i winą / Ostatnim snem proroczym i pierwszą dziewczyną”. Jej podmiotowe imię

staje się punktem odniesienia dla całego świata: dla wolności, historii, winy i odkupienia. Warto zauważyć, że w tekście występuje również pewna asertywna prośba-rozkaz („Zacumuj ze mną, Lidko”, „Nie daj mi wiary, Lidko, że...”), co pokazuje ambiwalencję relacji: z jednej strony liryczne błaganie, z drugiej – surowe żądanie. To czyni relację nierówną, dynamiczną, często dramatyczną.

Autor stosuje liczne środki poetyckie: powtórzenia („Jest we mnie,... Jest to,... Jest w nas,...”), apostrofy („Lidko”), metafory silne i często szokujące („nozdrza jak konia”, „wódka kaca leczę”, „Że rozsądek pomylił do kochanki kroki”). Wersy są raczej długie, obrazowe – rzadko klasycznie sonetowe w liczbie zgłoskowej. Widać tu ruch ku wolności formalnej, ku poezji, która chce być swobodna, nieograniczona. Rytm często wyłamuje się z tradycji, ale dzięki temu oddaje stan świadomości podmiotu: napięty, niepokój, rozdwojony. Istotna jest także przeczutnia – widać ją w wielu miejscach („A ja, Lidko, jak zwykle – nad ziemią wysoko / Z czupryną rozczochną na historii wietrze”). Z dziecięcej modlitwy zerwał sieci rozum; wolność śpiewa w obskurnym szalecie. Te zestawienia przeciwieństw są budulcem stylu.

Z punktu widzenia literatury regionalnej tom zasługuje na uwagę – autor związany jest z regionem świętokrzyskim, Ponidziem, co czyni jego głos autentycznym w przestrzeni peryferii literackiej. Dzięki temu jego poezja ma również wymiar lokalny i uniwersalny jednocześnie. Fakt, iż tom jest określany jako „wyjątkowa bardzo osobista pozycja” w dorobku autora, potwierdza jego znaczenie w literaturze współczesnej. Literacko rzecz biorąc, tom stanowi ciekawy przykład poezji, która łączy elementy liryki miłosnej, autobiograficznej, egzystencjalnej i społecznej – bez pretensji do czystości formy, lecz z pełną gotowością do zanurzenia w życiu, w jego nieporządkach, upadkach i pełnych gestach. W tym sensie może on być czytany jako próba „ocaleńia” – siebie, relacji, miłości, pamięci – poprzez poezję. Jednakże „niedokończenie” wskazuje, że ostateczne ocalenie nie jest dane, jest ciągłe, a może niemożliwe.

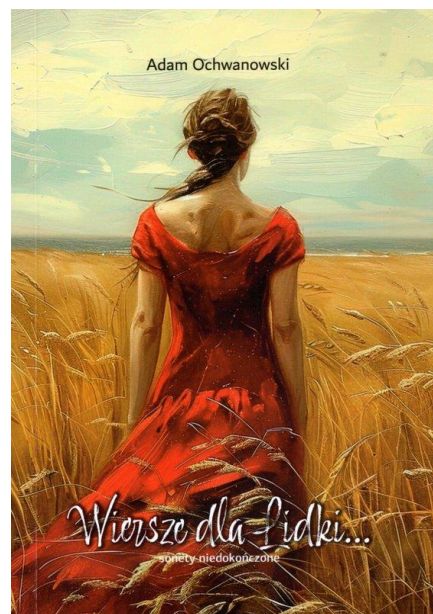
Mimo licznych walorów, tom nie jest wolny od pewnych zagadnień, które wymagają krytycznego spojrzenia. Po pierwsze: bez wątpienia język momentami balansuje na granicy „auto-ekspresji” a „monologu intymnego”, który może być odbierany jako skierowany wyłącznie do jednej osoby („Lidka”), co powoduje, że czytelnik zewnętrzny może czuć się wykluczony – jakby wścibskim świadkiem prywatnej sceny. Taka strategia czyni tom silny emocjonalnie, ale równocześnie może ograniczać uniwersalność odbioru. Po drugie: centralność tematów takich jak wódka, kac, bluźnierstwo – choć autentyczna – może w pewnym momencie wywoływać efekt przeżyty. Ale być może właśnie w tym tkwi jego prawda: świat nie jest czysty, a miłość nie jest elegijna. Wreszcie: „niedokończenie” – jako koncepcja – jest mocne w wymowie, ale ryzykowne formalnie. Nie każdy czytelnik zaakceptuje brak klasycznej puenty; jednak w

poezji Ochwanowskiego jest to zabieg świadomy.

Tom „Wiersze dla Lidki... sonety niedokończone” to książka bardzo osobista, pełna emocji, sprzeczności i prawdy. Nie udaje poezji salonowej. Jest szczerą, często bolesną, miejscami brutalną. Ale właśnie w tej szczerości tkwi jej siła. To poezja z popiołu i wódki, z modlitwy i bluźnierstwa, z miłości i jej braku. To sonety – a raczej ich echa – które nie chcą być skończone, bo życie, do którego się odnoszą, również nie jest.

To tom, który trzeba przeczytać nie raz, lecz kilka razy – żeby usłyszeć w nim nie tylko „Lidkę”, ale także echo własnych niedokończeń.

Andrzej Dębkowski



Adam Ochwanowski, *Wiersze dla Lidki. Sonety niedokończone*. Projekt okładki: Mariusz Stec. Aranżacja graficzna: Sylwia Bętkowska. Wydawca: Oficyna Poligraficzna APLA Sp.J. oraz Stowarzyszenie Klub Wodny „Kon-Tiki” w Pińczowie, Kielce 2025, s. 48.



A ja bym Ci nieba przychylił...

Zaskoczył nas Cezary Gawryś swoim tomem wierszy „Niepisane”. Znany autor wielu książek, redaktor, publicysta, filozof, teolog, objawił się tym razem jako poeta. I to poeta nietuzinkowy. Wprowadza nas w świat swych lirycznych doznań, których inspiracją, swoistym, bardzo ciekawym „fundamentem” jest świat realny. Z obserwowanych zjawisk wyprowadza Gawryś filozoficzną, egzystencjalną refleksję, buduje celną i ekspresyjną metaforę. To osobliwa wędrówka po światach dalekich i bliskich. Przypomina wzruszenia dawne i nowe; pamięć i utrwalone w niej zdarzenia, spotkania z ludźmi – czyli to wszystko co się autentycznie wydarzyło w życiu podmiotu lirycznego. A jednocześnie wycucie słowa, jego znaczeń i klimatów – stanowią istotne tworzywo tych wierszy.

Tak przecież może się dziać w przypadku każdego poety, ale na szczęście poeci różnią się osobowością, wrażliwością, erudycją. Wiersze Gawryśa, mądre i refleksyjne, nie są w żadnym razie przeintelektualizowane. Widać w nich filozoficzną głębię, ale na pierwszy plan wysuwa się właśnie konkretność, codzienność. Oto czyjeś odejście, śmierć ukochanego kota, spacer wrony po trawniku – to wszystko tutaj nie pozostaje bez poetyckiego znaczenia, przeciwnie – stanowi bardzo ważną inspirację. A więc zwyczajność, tak dobrze znana każdemu, przeradza się w wierszach Gawryśa w osobliwą nadzwyczajność. Czyżby potwierdzało się kolejne raz powiedzenie, że wszystko jest poezją? Zacytujmy w całości utwór posucha, jakże charakterystyczny dla wierszy tego poety:

*skąd się bierze wiersz
może z zachwytu
ni stąd ni zowąd
przychodzi w bezzenną noc
albo w deszczu
gdy czekasz z innymi na czerwonym świetle*

*a potem posucha
jałowa pustka
nikt nie woła*

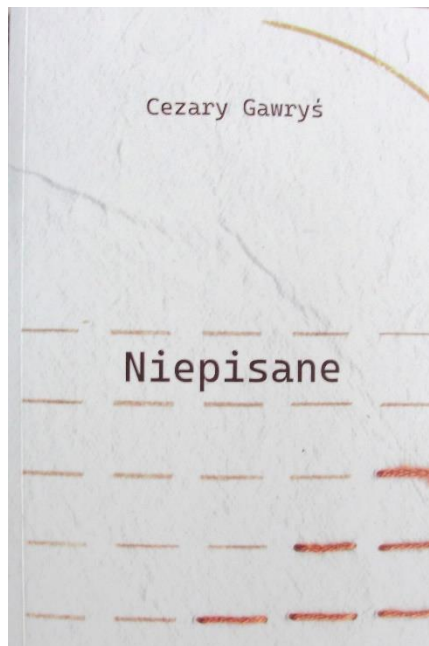
(„Posucha”)

Autor „Niepisanego” potrafi we wszystkim dojrzeć poezję, znaleźć odpowiedni obraz dla wyrażenia emocjonalnego ładunku. Z różnorodnych zdarzeń komponuje ekspresyjne, bardzo spójne utwory. Jest to poezja skierowana wprost do odbiorcy, nie stawia przed nim żadnych barier, nie mizdrzy się ani też niczego nie zaciemnia. Przemawia poprzez bardzo celną metaforę; pozornie prostą, ale w gruncie rzeczy jakże bogatą.

Ktoś może zarzucić, że narracja tych wierszy daleka bywa od konwencjonalnie pojętej „poetyckości”. Choć fraza Cezarego Gawryśa może zbliżyć się do frazy różewiczowskiej, to jednak ta ostatnia wydaje się jeszcze bardziej oszczędna. U Gawryśa bowiem spotkamy

wiele poetyckich „zauważeń”, słowa się zde-rzają tworząc zupełnie nowe przestrzenie znaczeniowe.

Jak się rzekło – nie jest to poezja „erudycyjna”, choć głęboko zakorzeniona w filozofii. Istnieje w niej wyraźna proporcja pomiędzy retoryką a czystą liryką. O inspiracjach, albo lepiej: odniesieniach filozoficznych, mówi autor językiem czystej poezji. Uzyskuje w ten sposób głębię, do odczytywania której zaprasza odbiorcę. Każdy może tu znaleźć coś dla siebie. Poeta nie zamyka wiersza. Przeciwnie – utwory są wieloznaczne, otwarte, jak choćby utwór „(Nie)nadaremnie” o rozmowie z księdzem T., również wybitnym twórcą, fenomenalnym i nietypowym kapłanem; o odwiedzinach w jego pokoiku z białym piecem kaflowym (wszyscy wiemy, kogo poeta odwiedzał.). Podmiot liryczny wyznaje, że mieszkająca w nim Heideggerowska trwoga. T. zwraca uwagę, że „kosmos jest przecież piękny”. I nie trzeba wielkich traktatów. W dwudziestu pięciu wersach wspomnianego utworu zawiera się nie tylko klimat owego „pokoiku”, ale wątki filozoficzno-egzystencjalne przesłanie.



Wiele miejsca w poezji Gawryśa zajmuje problem przemijania, bezsilności człowieka, z jednej strony mocno zakorzenionej w życiu, a który z drugiej jest z tego życia wyrwany. Jednakże podmiot liryczny nie buntuje się, bo zdaje sobie sprawę ze swojej w tej mierze bezsilności. W sposób przejmujący daje wyraz niepokojowi i żalowi. Jednocześnie pogodzeniu się z tym stanem rzeczy, akceptacji, poddaniu się nieuchronności pomimo wszystko. Najpełniejszym tego wyrazem będzie wiersz „Nasłuchiwanie”. Przytoczę go w całości:

*zbliża się nieuchronnie
nikt i nic się nie obroni*

*czasem brak słów
i brak tchu
wzrok się mąci*

*krew stygnie w żyłach
zalega cisza*

*trwasz oniemiały
nasłuchując kroków
i zgrzytu klucza w drzwiach*

to już?

Przypomina się w tym miejscu wiersz Tadeusza Różewicza „Czas na mnie”. Kiedy oto stajemy, że tak się górnotłonie wyrażę, „u progu wieczności”, wydaje się nam, że to wszystko, co zostawiamy za sobą to tylko chwila; że jeszcze czegoś brak, czegoś nie doświadczyliśmy, coś nas omija. Być może tak bywa. Poeta kieruje się intuicją.

Śmierć ludzi, zwierząt, właściwie wszystkiego co kochamy albo do czego jesteśmy od dawna przyzwyczajeni, pojawia się nader często w refleksyjnej poezji Cezarego Gawryśa. I znowu raczej na zasadzie stwierdzania faktów nieuchronnych niż buntu, lęku, rozpaczliwych a bezowocnych poszukiwań jakiejś formy obrony. Podmiot liryczny wie, że jakakolwiek obrona w tej mierze nie ma sensu.

Podobne refleksje pojawiają się przeważnie w ciemnej, nocnej scenarii, w ciszy:

*(...)
leży z otwartymi oczami
w ciemnościach
wyglądając brzasku
aż za oknem usłyszy zaśpiew
zachwyconego drozda*

(„Czekając na zaśpiew drozda”)

Świat przedstawiony Gawryśa nie jest bynajmniej jakąś pustą, ciemną, przerażającą przestrzenią, w której dzieje się nieludzki teatr ludzkiego życia. Wszystko wypełnia tajemnicza Obecność. Nie określi jej do końca żaden system filozoficzny, żadna religia. Umyka ludzkiemu słowu, nie daje się opisać, rozwikłać, racjonalizować. To przeżywany przez poetę inny, nieodgadniony wymiar, jednakowoż na swój sposób realny. Poezja to przecież nie naukowy traktat z zakresu filozofii czy teologii, ale indywidualne odbicie postrzeganych zjawisk. Przynosi nam pewne intuicje, obrazy, metafory, które – kiedy wnikiemy w nie głębiej – okazują się często procesami zachodzącymi irracjonalnie, jakby w osobliwy sposób „wzbogacającymi” przesłanie utworów niejako poza świadomym działaniem poety. Ale to należy do tajemników procesu twórczego, który u każdego autora zachodzi w inny sposób. U Cezarego Gawryśa spotykamy się najczęściej z afirmacją rzeczywistości; z mądrą zgodą na taką, jaka ona jest.

Powściągliwość oraz komunikatywność poetyckiej wypowiedzi, to cecha poezji autora „Niepisanego”. A jednocześnie obrazowość. Nic tu z moralizatorstwa, prób „definiowania” otaczającej poetę rzeczywistości. Przeciwnie – to ukazanie bardzo specyficznego, własnego poznawania jej i przeżywania. W kapitalny i lapidarny sposób powie o tym Gawryś w krótkim wierszu bez tytułu:

(Dokończenie na stronie 18)

A ja bym Ci nieba przychylił...

(Dokończenie ze strony 17)

nie dzielę ludzi na
wierzących i niewierzących
miałbym samego siebie
podzielić
przez zero

Niezależnie od długości poszczególnych utworów ma Cezary Gawryś dar syntetycznego postrzegania oraz stosowania skrótowości poetyckich relacji. Podkreślimy raz jeszcze, że w jego wierszach nie ma zbędnych środków stylistycznych, dosłowności; są te utwory ekspresyjne, precyzyjnie wyważone, często zaskakują odkrywczymi zauważeniami. Nie mogę nie przytoczyć tutaj fragmentu wiersza „Boże mój”, z genialnym, według mnie, zakończeniem:

(...)
Rozbijasz w pył moje marzenia
Wystawiasz na pośmiewisko
Kpisz sobie ze mnie
Rzucasz mi w twarz moje grzechy
Nakładasz ciężary nie do uniesienia
Jak lew miażdżysz moje kości
A ja bym Ci nieba przychylił

Stefan Jurkowski

Cezary Gawryś, *Niepisane*. Graf Media. Postowie: Mirosława Szott. Zielona Góra 2025, s. 64.

Szeptem do nieba

Kilka dni temu miałem okazję sięgnąć po nową książkę poetycką **Moniki Banaś** pt. *Mieszka we mnie sowa*. Już w wierszu otwierającym poetka przybliżyła nam swoje artystyczne i życiowe credo, otwarcie stwierdzając: *Jeśli chcesz mnie poznać (...) dotknij niewidzialnego (...) w połowie drogi do poznania / mieszka sowa / uważnym spojrzeniem / sięga w głębię skrywanych sekretów / mądrością zabliznia przeszłość (...) / jestem gdzieś pośrodku*. Ta kluczowa myśl definiuje miejsce, w jakim można uplasować zdecydowaną większość utworów całego tomu, ale też etap poetyckiego i duchowego rozkwitu autorki. To stwierdzenie, wraz z wersami *jeśli pojmisz / możesz liczyć na oddanie / jestem równoważniq* (z ostatniego wiersza *Może jestem*), stanowi narracyjną klamrę, w której mieści się ogromne bogactwo myśli i

mentalnej wrażliwości. Każdy wiersz tego tomu to świadectwo długiej drogi pokonanej przez poetkę na drodze samorozwoju; drogi, która, być może, nigdy się nie skończy. Wejdźmy zatem na tę poetycką ścieżkę razem z autorką.

Zajrzyjmy do utworu *Biały kruk*, pełnego obrazów łączących dawną mądrość i popkulturowe odniesienie do Scarlett O'Hary: *śnij o mądrości przodków / i wchłaniaj dym dawnych ognisk / spalaj gorsety niczym Scarlett O'Hara / szukaj w sobie białych kruków / i bądź jednym z nich*. Te słowa od razu nadają ton całości, emanując ciepłem i spokojem, ale podszytym cichą determinacją, by szukać własnej, wyjątkowej drogi – własnego „białego kruka” – nawet pośród życiowych trosk. W utworach poetki codzienność przenika się z magią i głęboką zadumą nad codziennym życiem. Bez trudu odnajdziemy tu symbole natury i elementy duchowe, które trafnie oddają subtelne stany emocjonalne. Charakterystycznymi tropami są: sowa strzegąca sekretów wiedzy, dumny orzeł, czy wilk czuwający na granicy jawy i snu. W tych animalnych archetypach czytelnik, zaznajomiony z antropologią kultury, odnajduje totemiczne zwierzęta mocy, których zadaniem jest strzec człowieka i bezpiecznie prowadzić po zawiłych, a czasem niebezpiecznych ścieżkach wewnętrznego świata. Dzięki nim zyskujemy wsparcie, siłę i dojrzały wgląd we własną jaźń na jej najgłębszych poziomach. Jednocześnie nietrudno odnaleźć w tej poezji wiarę w moc przeznaczenia i odwiecznego losu człowieka, bez sztucznie narzuconych dogmatów (*wszystko się wypełni / bez świętych ksiąg / proroków i pasterzy*). Te oryginalne przemyślenia nadają wierszom niemal mistyczny odcień, lecz poetka nie stawia ich na piedestale – wciąż pozostają przyjazne i bliskie, jak w utworze *Pod gasnącym nieboskłonem*, gdzie: *ciennie kłaniają się matce ziemi / na której spoczywają / totemiczne istoty / i ochronne drzewa*. Świat przedstawiony w poezji Banaś, głęboko pokłoniony Naturze (w jej najbardziej pierwotnym, wręcz archetypicznym rozumieniu), jest równocześnie bliski czytelnikowi, ale zawsze trochę jakby zaczarowany. Fale obmywają tu przygazzone złoto piasków, gdzie indziej *chmurny szafir / maluje oblicza stwórcy / i rysuje chabrowe spojrzenia / przeglądające się w taflę wód, a na obrzeżach rosną piękni ludzie / po zmierzchaniu zabierają księżyc / do kieszeni*. Takie zjawiskowe, malarskie wizje działają na wyobraźnię odbiorcy, świadcząc o niezwyklej wrażliwości i wyobraźni autorki, która maluje słowem impresjonistyczne pejzaże.

Emocje ujawnione w tym zbiorze mają wiele odcieni, od melancholii po nadzieję. W jednym z wierszy mroźny, zimowy krajobraz i odrobina przygnębienia ustępują miejsca decyzji, by iść dalej: *kolejny krok kruszy szkło / i porzuca cierpką melancholię / nie warto w niej trwać*. Podmiot liryczny delikatnie sugeruje, że choć ból i samotność są częścią życia (wspomina, że *jedyna gwarancja dziecko moje / to samotność*), to nie należy się w nich zatracać. Zamiast tego proponuje otwarcie

serca na wolność i zaufanie, unikając zamknięcia się w *schematach myśli / i cudzych oczekiwaniach*. Autorka z wyrozumiałością podchodzi do ludzkich słabości, lecz konsekwentnie podszeptuje, że warto zawierzyć życiu i własnym siłom. Instynktownie prowadzi nas ku najgłębiej rozumianej łączności z przeszłością i przodkami: *prawo przodków powraca falami / w krwi i pamięci*, a w wierszu *Wilia z fajką* czytamy: *światliste pramatki / tańczą w płomieniach świec / niosąc ciepło dawnych wierceń*. Jednocześnie w wierszu *Sukcesja* upomina, by nie zagubić się w nieskończonym kole minionych traum i niezadośćuczynionych win: *zerwij przymiery z przeszłością (...) / nie pozwól ranić swoich stóp / o cudze grzechy*.

Wiele wierszy to małe manifesty odwagi ducha – brzmiały jak szept serdecznego przewodnika, dodającego czytelnikowi otuchy i nadziei w codziennych zmaganiach. Poetka przekonuje, że każdy z nas ma w sobie moc, by pokonać przeciwności – *masz w sobie wszystko / więc płyn / między krugągankiem niebios / a przedsionkiem piekieł*. Cóż za śmiała metafora drogi! Te wersy tchną życiową mądrością, bo nosimy w sercu dość siły, by przetrwać i pójść dalej, niezależnie od tego jak skrajne są nasze doświadczenia: *pozbyłam się większości czarnych ubrań / włosów złudzeń i myśli (...) / stare zamknęło za sobą drzwi / powróciły smaki życia* (z wiersza *Spowiedź wiedźmy*). Podobne przesłanie niesie wiersz o znamienym tytule *Nie bój się żyć, gdzie dziś (...) / zapowiada dobre chwile / z nutką deszczu i kawy*, a jutrzejsza niepewność jest naturalną częścią losu, którą warto zaakceptować. Ten pogodny i stoicki spokój uzewnętrznia się w wielu utworach, czyniąc lekturę pokrzepiającym doświadczeniem.

Co istotne, Banaś potrafi też spojrzeć krytycznie na świat, zachowując przy tym lekkość pióra i wnikliwość obserwacji. W kilku wierszach pobrzmiewa nuta buntu przeciw banałom i zniewoleniu myśli. Podmiot liryczny nie boi się mocniejszych stwierdzeń, i wprost wyznaje: *byłam i jestem anarchistką*. W kontekście łagodnej estetyki całego tomu to optyka raczej zaskakująca, ale dodaje całości pazur i autentyczność. Uważny czytelnik bez trudu rozpozna, że esencja przedstawionej w nim poezji wypływa z serca osoby niezależnej, myślącej samodzielnie, która wyznaje: *może jestem (...) / poetką tkającą wersy (...) / która ufa tylko intuicji / i żyje według własnych prawideł*. Między wersami kryje się sprzeciw wobec powierzchnowości – autorka drwi z „baniek mydlanych” polityki czy pustych deklaracji krytyków. Jednak nawet bunt wyrażony jest z kulturą i finezją, a zamiast jazgotu mamy tu ironiczny uśmiech i celne puenty. Dzięki temu poezja zachowuje równowagę: jest łagodna w tonie, ale stanowcza w treści tam, gdzie wymaga tego ton i narracja.

Warto zwrócić uwagę, że język tych wierszy nosi ślady poetyki symbolicznej, a jednocześnie wpisuje się w nurt współczesnej poezji introspektywnej. Autorka z powodzeniem łączy ton modlitewny z delikat-

nym szeptem – jej słowo ma zarazem charakter kontemplacji i spowiedzi, zbliżając się do tradycji poetyckiego mistycyzmu (od Leśmiana po Różewicza) – a twórczość nabiera tu charakteru intymnego, osobistego doświadczenia: *tutaj uprawiam wiersze / jak ogródek / w małej przestrzeni / wszechświata* (z wiersza *W małej przestrzeni*). W warstwie formalnej dominuje miękkość rytmu i płynność frazy, która pozwala, by emocje spływały na czytelnika stopniowo, jak echo dawnego zaklęcia. Poetka wykazuje dużą świadomość metafory i potrafi budować obrazy, które łączą zmysłowość z metafizyką. Używa języka nasyconego emocją, lecz zgrabnie unika popadania w przesadę. Metafora zastosowana w wierszach nie zaciemnia, lecz rozjaśnia sens. Współczesna poezja często dryfuje w stronę hermetyzmu; w tym tomiku jest odwrotnie, bo nawet gdy wers jest wielowarstwowy, wciąż pozostaje komunikatywny. To właśnie największa siła tej twórczości – szczerść przekazu przy zachowaniu artystycznej gęstości.

Książka składa się nie tylko z wierszy, albowiem autorka podsuwa czytelnikowi garść aforyzmów, które stanowią sedno jej przemyśleń. Te krótkie zdania są jednak *clou* mądrości życiowej i poetyckiej zwięzłości. *Intuicja jest językiem aniołów*, pisze poetka, odsłaniając swoją wiarę w wewnętrzny głos i duchową kwintesencję istnienia. W innym miejscu wyznaje z czułą metaforą: *Jeśli nawet przez jedno tchnienie będę twoim motylem, wiem, że warto było rozwinąć skrzydła*. Tego rodzaju aforyzmy pięknie dopełniają lekturę wierszy – są jak drogowskazy, które ujarzmiają w jednym zdaniu to, co w poezji rozkwita pełnią obrazów i emocji. Pokazują też, że autorka potrafi ubrać myśl zarówno w rozbudowaną, malowniczą scenę, jak i w esencjonalne zdanie trafiające prosto w sedno.

Kordialność i równowaga – te dwa określenia najlepiej opisują nastrój recenzowanego zbioru. Siła wyrazu tych wierszy nie tkwi w hałasie, ale w życzliwości i unikaniu moralizatorstwa czy patosu. Czasem się uśmiechamy, a kiedy indziej wzruszamy, zawsze jednak obcujemy ze szczerem, autentycznym słowem. To poezja otwarta na uniwersalne doświadczenia – autorka pisze o sprawach istotnych, trudnych, a przy tym w różnym stopniu dotykających nas wszystkich i każdy może odnaleźć w nich część siebie. Podsumowując, książka *Mieszka we mnie sowa* stanowi kolejny udany krok twórczy w dorobku Moniki Banaś, pełen obrazów, które długo jeszcze wybrzmiewać będą w wyobraźni czytelnika. Warto dać się poprowadzić temu spokojnemu głosowi – szeptem do nieba, ku refleksji i ukojeniu.

Rafał Nowocien



Mityczność drogi zatopiona w tajemnicy czasu

Z **Benedyktem Kozielem** było tak. Tom jego wierszy *Z obłoków z doliny* w 2019 roku przyszedł do mnie sam wraz z kolejnym numerem – dwupak – „Poezji dzisiaj”. Młodszym przypomnę, ukazywało się w latach 1998-2022 takie pismo literackie pod redakcją Aleksandra Nawrockiego i „pani dyrektor”, prywatnie żony naczelnego i właściciela, także wydawnictwa IBiS – Barbary Jurkowskiej. Pismo miało szeroki ogład na poezję globalną. A festiwale: Światowy Dzień Poezji UNESCO i Poezji Słowiańskiej obrały sobie za stolice: Londyn, Warszawę, Petersburg, Ateny, Rygę, Bukareszt, Riazan. Benedykt Kozieł uczestniczył w wielu tych festiwalach i drukował w dwujęzycznej serii Wydawnictwa IBiS „Mosty”. Lecz nie o wojażach jest ten szkic? Tylko o poezji!

Z kronikarskiego obowiązku kawałek biografii. Urodzony w 1959 roku w Połańcu. Gruntownie wyedukowany. W czasie studiów współzałożyciel uczelnianej grupy literackiej „Rozstaje” oraz radomskiej grupy poetyckiej „Łuczywo”. Od 1990 roku w środowisku staszowskim; ugrupowanie „Nad Czarną”. W 2001 roku przyjęty w poczet Kieleckiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Czasami ukryty pod pseudonimem – Stanisław Kem. Tu raczej woal dotyczy... porzuconych niewiaść? Kto powiedział, że z poetą jest łatwo?

Debiutował jako liryk w 1981 roku w Radomiu, w uczelnianym pokonkursowym arkuszu poetyckim „Ogon pegaza” oraz w „Gazecie Strajkowej WSI”. Dotychczas opublikował 11 zbiorów wierszy. *Przestąpiłem progi pa-trzeń* (1986), były pierwszą książką Benedykta Kozieła, a *Nie odstępując luster* (2023) daj Boże nieostatnią. Wprawdzie nie o wojażach jest ten szkic, ale z zazdrością wymienię kraje gospodarze festiwali, w których uczestniczył: Polska, Bułgaria, Litwa, Wielka Brytania, Rosja, Italia. Ale i na swoim podwórku popularyzuje literaturę w ramach Staszowskiego Lata Literackiego i goszcząc przez parę lat Światowe Dni Poezji UNESCO i Festiwal Poezji Słowiańskiej. Oby ta ostatnia impreza odżyła na nowo!

Poeta musi potrafić wyrazić „ciężar” chwili. Ująć to tak, by czytelnik znalazł się w „jądrze” wydarzeń i stał się uczestnikiem „rozgrywanych” sytuacji. Będąc po obu stronach lustra w jarzmie nacechowanym osobistymi przeżyciami, które z własnego zamyślenia kreśli artysta. Sięgnę po „Zapis” będący świadectwem szerokiej – do granic możliwości – wyobraźni poety.

Otwieram ciszę

*w obłoku myśli
unosi się
niewypowiedziane
nabrzmiewa*

*w braku słów
zapis stanu*

obecność

Majstersztykiem obezwładniającym czytelnika – oczywiście wywodzącego się z wiejskiego środowiska jak większość Polaków w czasie narodzin poety – i przenoszonych w świat mu znany, a utracony szlakiem życiowym jest wiersz „Idę w dzieciństwo”, który musi być cytowany w całości.

*Idę w dzieciństwo
do sadu za domem
w śliwkowe gęstwiny
suszone owoce*

*idę przez pole
w obsiane zagony
wykopki za rowem
czubate piwnice*

*zasiadam w trawie
odnajduję smaki
drożdżówki na miedzy
koszki kanapek*

*pod drogą granicą
w strumieniu pastwiska
pod lasem przy źródle
grzęzną słowem w drodze*

Nie chodzi tutaj o nostalgię jakby mogło się wydawać? Lecz o drogę jaką przebył poeta i tysiące mu podobnych, zagubionych w wielkomiejskiej rzeczywistości. Od zachłystnięcia się kłatkowo-betonowym dobrobytem... po powrót „do sadu za domem / w śliwkowe gęstwiny (...) w obsiane zagony / wykopki za rowem”. Podskórnie czując niepokój żniw.

Kozieł w krótkich wersach poszukuje sensu metafory, a w przeżyciach osobistych istoty powrotu do ziemi przodków. Gdyż w kołowymrocie codzienności zagubił czas, a teraz dopasowuje „klucze” wyznając: „Idę / przez dzień / przez noc // patrzę na drogę / za mną / przede mną // ślady / jednakowo / niepewne / niejasne / trudne / do odczytania / do zapisania // słowa / lecą nade mną / pło-szone życiem”.

Wiesz to swoista, zapadająca w serce pieśń, która spaja ze sobą wszystkich, którzy opuścili jej łono. Świat szeroko pojętej Sandomierszczyzny i Ponidzia opisywali w powieściach Julian Kawalec (pod koniec życia poeta), Józef Morton, Wiesław Myśliwski. W poezji Jarosław Iwaszkiewicz, Zdzisław Antolski, wszyscy mówili własnym niepowtarzalnym językiem. I indywidualnego zapisu/pióra dopracował się Benedykt Kozieł, operując szczegółem, detalem, drobiazgiem, spojrzeniem sponad i wewnątrz „zmysłu równowagi”, „(...) w otwartym dniu / wracałem / do jasności / ludzkiego wymiaru”.

Poeta buduje swoją mityczną drogę czasu „Tak jak się przyszło / z obłoków / z doliny / trzeba iść dalej / za najbliższe wzgórze / za lustra rzeki / w rozstawione drzewa”.

Przyjdzie „z obłoków” to narodziny dziecka, nowy początek jakby „życia” rodzi-

(Dokończenie na stronie 20)

Mityczność drogi zatopiona w tajemnicy czasu

(Dokończenie ze strony 19)

ców, zmiany w domostwie, ich rozwój osobisty, radość, celebrowanie doczesności i ciągłość rodu.

Nieznane dotąd nowe wyzwania. „Z doliny” chodzi oczywiście o sandomierską dotyczy już chłopca wyruszającego w „świat” za nauką, najpierw szkoła podstawowa: dwa oddziały w Niekurzy, sześć w Tursku Wielkim, „ogólniak” w Staszowie, skrótem przez wały wiślane. „Trzeba iść dalej” zgodnie z retrospekcją wiersza. Studia: Radom, Warszawa. I za chlebem znów Radom, w latach następnych Tarnobrzeg, Staszów. Wiąć gniazdo rodzinne w Połańcu „tam nasze granice / nasze horyzonty / przezroczyście światy / spodziewane kresy”. Zgodnie z prawidłem poeta musi osiąść siedliszcze/własny punkt odniesienia, z którego przywołuje coś co odeszło/zostało zapomniane, a siedzi w nim głęboko jak kołec róży rozświetlającej ogród. Ból, zapach i barwa?! One to poezję Benedykta Koziela cechują echem urodzajnych pól przepętnionych prawdą, uczciwością celującą prosto w serce. Są łzą matki oplakującej śmierć dziecka. Wędrówka życia ma jednak swoje wyboje, zakręty, zawirowania. Stąd dyskurs literacki opowieści „autentyzmu”, istniejący już w polskiej literaturze, doskonale wpisuje - pamiętajmy, pobocznym dopływem - autorskie dzieło liryka z ziemi Uniwersału Połanieckiego w nurt Ożoga. Utwory zawarte w tomach - brałem pod uwagę trzy i wybór - są na wskroś autobiograficzne. Poeta napisał je w nawrocie wspomnień, Palca Bożego, dysput ze starzykami, powrotu do Niekurzy, patrząc w horyzont okalający Połaniec, Staszów, Tarnobrzeg pachnący siarką. Ale inne... z własnym powidokiem, pogłosem.

Genię sobie rozmowy z takimi ludźmi. Wiedziałem, że Opatrzność kiedyś nas zetknie. I zetknęła w 2023 roku na Krajowym Zjeździe ZLP w Warszawie, w Domu Literatury. Uściśniliśmy sobie dłonie. Był czas na rozmowę, wymianę kontaktów, książek, wpis dedykacji. Zaprosiłem Benedykta na „jednego” do „Literatki”. Stoliki zajęli goście weselni, prawa ekonomii. By pogadać musieliśmy usiąść na zewnątrz pod parasolem w deszczu „w otwartym dniu”. I wtedy zrozumiałem słowa poety siedzącego naprzeciwko, zawieszzonego w impresji Zamku Królewskiego. („...”) wracałem / do jasności / ludzkiego wymiaru // czytałem / piałem samogon / malowałem obraz okna // świat rozbił się / w milionach doskonałych kształtów / każdą kroplą deszczu // szukałem perspektywy // szedłem / między słowem a rzeczywistością / między zrozumieniem a Bogiem / w niemożliwe”. A jednak...

Jerzy Stasiewicz

Andrzej Dębkowski

Odejścia

Odejście Jana Englerta z Teatru Narodowego – po dwóch dekadach nieprzerwanego kierowania najważniejszą sceną repertuarową w Polsce – jest wydarzeniem symbolicznym nie tylko dla polskiego teatru, lecz także dla sposobu, w jaki instytucje kultury funkcjonują w przestrzeni publicznej, w relacji do państwa, władzy i wspólnoty. Milczenie, które to odejście otacza, wydaje się głośniejsze niż jakiegokolwiek słowa pożegnania. Bo to nie jest tylko historia o zmianie dyrektora artystycznego, o pokoleniowej wymianie czy naturalnym biegu instytucjonalnego czasu. To raczej historia o zaniku pewnej formy – formy dialogu, formy wdzięczności, formy ciągłości. I o tym, jak współczesne państwo – w swojej biurokratycznej bezduszości, ale i politycznej lekkości – coraz mniej potrafi rozmawiać z kulturą nie na własnych warunkach.

Jan Englert, aktor, reżyser, pedagog, przez lata stał się kimś więcej niż dyrektorem Teatru Narodowego. Był jego twarzą, ale także jego sumieniem – strażnikiem pewnej tradycji rozumienia teatru jako instytucji duchowej, miejsca pracy nad językiem i losem człowieka. Kiedy obejmował tę scenę po Jerzym Grzegorzewskim, środowisko teatralne było w stanie fermentu: z jednej strony dogasała epoka wielkich autorskich wizji, z drugiej – pojawiały się nowe, ostre, performatywne głosy, które chciały teatr wyprowadzić z jego świątynnego skupienia w stronę społecznego performansu, prowokacji, politycznego gestu. Englert – człowiek wychowany na klasyce, na Szekspirze, Fredrze, Słowackim – odpowiadał na te zmiany nie przez negację, lecz przez równowagę. Chciał, by Teatr Narodowy był miejscem dialogu tradycji z nowoczesnością, nie jej ofiarą.

Można powiedzieć, że był dyrektorem konserwatywnym, ale tylko w sensie głębokiego szacunku dla warsztatu i słowa. W czasach, gdy teatr coraz częściej staje się komentarzem społecznym, performatywnym krzykiem, Englert obstawał przy tym, że teatr ma być także – a może przede wszystkim – rozmową z tekstem, z myślą, z historią języka. Nie chodziło mu o obronę klasyki jako pomnika, lecz o przekonanie, że dopóki potrafimy zrozumieć Mickiewicza, dopóty jeszcze potrafimy rozmawiać o sobie jako wspólnotie. Ta postawa – wrażliwa, ale wymagająca – nie pasowała do żadnej z dominujących narracji. Ani do tej, która chciała teatru zaangażowanego w sensie ideologicznym, ani do tej, która widziała w kulturze wyłącznie produkt. Englert trwał między nimi, wierny swojej wizji, która z biegiem czasu stawała się coraz bardziej anachroniczna – ale też coraz bardziej potrzebna.

Milczenie Ministerstwa Kultury wobec jego odejścia jest symptomem głębszej choroby. To nie jest przypadkowy brak gestu, wynik pośpiechu czy nieporozumienia. To raczej przejaw utraty języka szacunku wobec

tradycji. Odejście Englerta nie wpisuje się w logikę współczesnego obiegu kultury – bo nie jest ani spektaklem politycznym, ani medialnym skandalem, ani aktem zerwania z „poprzednim porządkiem”. To zwykłe, ciche domknięcie pewnej epoki, które wymagałoby od państwa gestu wdzięczności, słowa uznania, prostego „dziękujemy”. Tego jednak zabrakło. Bo wdzięczność wymaga nie tylko woli, ale też świadomości, że kultura jest czymś więcej niż zbiorem stanowisk do obsadzenia.

To milczenie mówi o nas bardzo dużo. O tym, jak bardzo zanika w Polsce kultura instytucjonalna – rozumiana nie jako administracja, lecz jako świadomość ciągłości. O tym, że nie potrafimy już mówić o kulturze w kategoriach wspólnego dobra, niezależnego od chwilowych podziałów politycznych. Każda zmiana władzy przynosi dziś symboliczną czystkę: nowe narracje potrzebują nowych twarzy, a przeszłość – nawet ta szlachetna – staje się ciężarem. Englert, który przez lata bronił autonomii Teatru Narodowego wobec polityki, który nie dał się przypisać do żadnego obozu, staje się w tej logice figurą niewygodną. Nie dlatego, że coś zawinił, ale dlatego, że nie pasuje do nowego języka. Jest zbyt „poważny”, zbyt „instytucjonalny”, zbyt „ponadczasowy” – a więc nieużyteczny w świecie, w którym kultura ma przede wszystkim legitymizować bieżącą władzę.



Paradoksalnie, jego ciche odejście jest najbardziej wymownym gestem, jaki mógł pozostawić. W milczeniu, bez konferencji prasowych i teatralnych pożegnań, Englert zamyka rozdział, który – być może – był ostatnim okresem w historii polskich instytucji kultury, w którym słowo „autonomia” miało jeszcze realne znaczenie. Współczesne ministerstwa, bez względu na barwy polityczne, traktują kulturę instrumentalnie: jako pole ekspresji ideologicznej lub wizerunkowej. Tymczasem Englert reprezentował coś przeciwnego – wiarę w kulturę jako przestrzeń, w której państwo ma obowiązek się zatrzymać, ale nie ma prawa wtrącać.

W tym sensie jego odejście to nie tylko sprawa personalna. To cezura instytucjonalna. Zniknięcie Englerta z Narodowego jest równoznaczne z utratą pewnego typu przywództwa – opartego na doświadczeniu, refleksji i etosie pracy, a nie na PR-ze i lojalnościach politycznych. Można się nie zgadzać z jego wizją repertuaru, można zarzucać mu ostrożność wobec nowych form, ale nie można odmówić mu tego, że był dyrektorem, który rozumiał teatr jako misję.

(Dokończenie na stronie 24)

Filozofia codziennosci prof. Marii Szyszkowskiej (230)



Fot. Andrzej Dębowski

Wcześniejsza od miłości bliźniego, idea braterstwa wszystkich ludzi sformułowana została przez stoików. Ujmowali oni każdego człowieka jako część ludzkości, głosząc nakaz trwałego pokoju.

Podstawowa zasada prawa naturalnego – wyższego od prawa stanowionego – na gruncie myśli chrześcijańskiej brzmi za Arystotelesem: „dobro należy czynić, zła należy unikać”. Ale nie wyprowadza się z niej w przypadku dużych liczebnie religii chrześcijańskich, zakazu prowadzenia wszelkich wojen. Trzeba tu dodać, że prawo naturalne jest pojmowane przez filozofów chrześcijańskich jako ugruntowane w istocie człowieka. Jego ostatecznym źródłem jest prawo wieczne, *lex aeterna*, czyli myśl Boga decydująca o prawidłowościach tego świata. Jednakże nakaz pokoju nie wynika z prawa naturalnego, a więc nie jest nakazem moralnym. Pokój w świetle tych poglądów jest wartością immoralną.

Moralności uniwersalnej nie ma. Od starożytności toczą się spory dotyczące moralności. Nawet wartość życia człowieka nie jest powszechnie aprobowana, by podać jako przykład anarchistów, czy terrorystów, jak również poglądy tych, którzy zezwalają na prowadzenie określonego rodzaju wojen.

Nie można zaliczać zakazu udziału w wojnach, czy inaczej nakazu pokoju, do wartości moralnych w świetle wielu teorii etycznych. Ale są formułowane także inne poglądy. Jeżeli odwołamy się do etyki Immanuela Kanta, do jego imperatywu praktycznego, czyli nakazu, by traktować każdego człowieka jako cel sam w sobie, a nigdy tylko jako środka do celu, to wynika z niego zakaz prowadzenia jakiegokolwiek wojny. Ona bowiem sprawia, że człowiek jest traktowany jedynie jako środek do celu, którym jest zwycięstwo w wojnie.

Najwyższy czas, by ludzkość uznała życie istot narodzonych za wartość fundamentalną, a więc wymagającą bezwzględnej ochrony.

W Polsce funkcjonuje obecnie jedyna Katedra Pokoju. Powołał ją do życia i kierują nią prof. Andrzej Bałandynowicz. Zwracam na to uwagę, ponieważ uświadomienie sobie wartości pacyfizmu wymaga edukacji. Niezbędna jest zmiana świadomości zdecydowanej

większości społeczeństwa, które jest przekonane, że wojny są w sposób konieczny zespolone z dziejami ludzkości.

Niepokojące jest, że dyskusje o pokoju sprowadzają się głównie do ograniczania produkcji środków służących do zabijania – a nie podnosi się w nich zakazu prowadzenia wojen. W budżetach państw przewidywany jest obecnie wzrost nakładów finansowych na zbrojenia. Towarzyszy temu milczenie nie tylko światłych obywateli, ale także brak protestów ze strony głodnych i niedożywionych. Niewątpliwym nieporozumieniem jest twierdzenie, że wojny są nieuchronne. Fakt ich występowania do tej pory w historii dziejów ludzkości, nie znaczy, że muszą one nam stale towarzyszyć. Bardzo wiele mogłoby zdziałać dla zmiany świadomości społeczeństwa kapłani rozmaitych wyznań. Szerzenie przez nich wartości pokoju wydawałoby się czymś oczywistym.

Konsekwencją pojmowania człowieka jako części ludzkości i zarazem konsekwencją teorii prawa naturalnego wydawałoby się, że powinien być postulat trwałego pokoju. Przyznając wysoką wartość człowiekowi – żadnej wojny nie powinno się usprawiedliwiać.

Zaniechania wojen domagają się z reguły ci myśliciele, którzy nie ulegają mitowi społecznej natury człowieka. Zatraskani tkwiącą w nas agresją, szukając sposobów jej zmniejszenia, żądają na przykład uprawiania sportu aż do ryzyka śmierci, czy powołania katedr uniwersyteckich krzewiących pacyfizm. Uzasadnieniem pacyfizmu bywa określona koncepcja moralna lub uznanie bezwzględnej wartości życia człowieka.

Pozbawiona jest sensu znana rzymska maksyma: jeśli pragniesz pokoju, gotuj się na wojnę, bowiem tą drogą nigdy nie osiągnie się zaprzestania zbrojeń prowadzących nieuchronnie do zabijania człowieka przez człowieka. Wojny są, o czym pisał już Kant, najtańszym sposobem niszczenia przestarzałego uzbrojenia. Trzeba zdawać sobie sprawę z tego, że nawet sformułowanie „walka o pokój” jest nieporozumieniem. Otóż nie chodzi o pokój, którego wprowadzenie wiązałoby się z przemocą, zabijaniem i gwałtem.

Niektórzy pacyfiści oczekiwali, że esep-ranto zjednoczy ludzkość. Tak się nie stało. Obecnie język angielski pełni tę rolę, ale zarazem stał się nośnikiem określonej kultury. Amerykanizacja dochodzi do głosu nie tylko na naszym kontynencie.

Pierwsze stowarzyszenia i organizacje pacyfistyczne powstały w XIX wieku. Ruch ten nasilił się w okresie I wojny światowej. Myśl o trwałym pokoju powróciła na bardzo krótko bezpośrednio po II wojnie światowej. Ale obecnie jest inaczej. Nawet Pokojowa Nagroda Nobla ma charakter polityczny i wręczana jest niejednokrotnie tym, którzy prowadzą wojnę.

Nasza epoka pod wieloma względami nie dorasta do wartości głoszonych i kultywowanych w starożytności. Wówczas dostrzegano sprzeczność między braterstwem a zgodą na zabijanie człowieka przez człowieka.

W XXI wieku brakuje należytego szacun-

ku dla człowieka oraz dla zwierząt, roślin i przyrody nieożywionej. Wyrazem tego są wojny i katastrofalne w skutkach niszczenie przyrody. Człowiek bywa określany jako jedyna istota niszcząca środowisko naturalne. Brakuje świadomości tego, że to, co zakłóca harmonię współistnienia prowadzi do chorób, do wojen i grozi zagładą naszej planety. Filozof i lekarz, Julian Aleksandrowicz, wyrażał kilkadziesiąt lat temu głębokie zatroskanie tym, że wiedza o niepokojących skutkach niszczenia Kosmosu nie hamuje tych działań odbywających się w majestacie prawa.

Świadomość jednostek przepojona pacyfizmem, miała poprzedzać procesy zjednoczeniowe w Europie. Miały się one rozpocząć od przebudowy świadomości Europejczyków; miała zostać oczyszczona z uprzedzeń i wrogości narosłej poprzez wieki. Oczekiwano po ostatniej wojnie światowej, że zostanie powszechnie uznana niepodważalna wartość człowieka, jego życia i zdrowia. Miały przed zjednoczeniem Europy zniknąć uprzedzenia rasowe, narodowe, religijne, polityczne. W tej atmosferze tolerancji, czyli zgody na funkcjonowanie poglądów nawet dalece odległych od tych, które dany człowiek uznaje za prawdziwe i słuszne, miała tworzyć się nowa Europa. Stało się inaczej.

Żyjemy w epoce określanej mianem globalizmu, a paradoks polega na tym, że nie ujmuje się człowieka jako części ludzkości. Siła koncernów zbrojeniowych nie maleje, a wojny bywają określane mianem misji pokojowych, stabilizacyjnych, czy niesieniem demokracji.

Paradoks polega również na tym, że zgodnie na prowadzenie wojen towarzyszą deklaracje o ochronie zdrowia człowieka. Otóż wojny prowadzą nie tylko do zabijania człowieka przez człowieka, ale niszczą także środowisko naturalne, co negatywnie wpływa na zdrowie.

Szerzona obecnie wartość zysku materialnego prowadzi do poważnych zagrożeń globalnych, usprawiedliwiając wojny. Zjawisko wojen potęguje się wraz z rozkwitem wynalazków w temacie zbrojeniowym na który nie szczędzi się pieniędzy.

W życiu międzynarodowym toczą się jedynie dyskusje dotyczące zakazu używania określonego rodzaju środków masowego rażenia. A więc nic nie zmieniło się od czasów średniowiecza, gdy obwarowywano wojny szeregiem warunków, zamiast przeciwko nim protestować.

Problem zawiera się w tym, że chętniej akcentowane są wartości antagonizujące ludzkość niż scalające ją. Trudno jest pobudzić umysły i działania w kierunku wartości pozytywnych. Wizja wroga dzieli, ale jednocześnie cementuje przeciwko komuś. Wartość braterstwa trudno jest zaszczepić w skali powszechnej. Sprzyja temu bierność jako cecha ludzkiej natury oraz przeświadczenie, że nie można zmienić biegu ludzkości.

cdn.

Maria Szyszkowska

Moja walka z rakiem

(75)

23 czerwca 2020

Przeżywam mój powrót do domu. Wczoraj najwięcej czasu poświęciłem przejrzeniu poczty w Internecie. Z mojego notatnika spisałem też do dziennika pierwszy dzień pobytu w szpitalu. A tak cieszę się spokojem domowego ogniska, zjadam wszystko, co Halinka przygotowała na mój powrót, przede wszystkim sałatki, no i zupę pomidorową z kawałkiem kurczaka, resztę, także schabowego, odkładamy na jutro czyli na dziś. Spaszałem go z apetytem – z ćwikłą i odsmażanymi ziemniakami. Pycha. Powoli zapominam o tym, czym nas karmiono w szpitalu. Pewnie, obiady były dwudaniowe, także z mięsem i ziemniakami, ale nic mi tam nie smakowało, dosłownie nic. To wszystko było jakieś mdłe, nie do jedzenia. Odrabiam zatem szpital i dni wymuszonej głodówki z powodu operacji, a także tej z własnej, nieprzymuszonej woli. Bywało, że jedzenia szpitalnego nawet nie mogłem przełknąć.

Z Halinką byliśmy razem na targu, gdzie dokonaliśmy zakupów, m.in. truskawek, rzodkiewki, szczypiorku, ogórków gruntowych, głównie na sałatkę wiosenną, którą się kiedyś obiadaliśmy, i zamierzam także teraz. Zdrowe to i niedrogie.

W wolnych chwilach wklepuję moje notatki ze szpitala do komputera. Idzie to wolno, często nie mogę nawet ich odczytać. Na jutro, czyli na środę pozostał mi do wklepania jeszcze jeden dzień, no i będę mój dziennik uzupełniał na bieżąco.

24 czerwca 2020

Nadal wklepywałem notatki ze szpitala. Pogoda deszczowa. Padało co prawda tylko z rana, ale niebo cały czas było zachmurzone. Odwiedziłem wreszcie mego fryzjera i poszedłem do salonu T-Mobile doładować telefon, bo zakupione minuty już się kończyły, a także kupić truskawki. Na targu ze względu na pogodę mniej było handlarzy niż wczoraj, a truskawki też chyba wczorajsze. To były moje główne zadania, które musiałem pilnie wykonać. W południe, gdy już się zmęczyłem wklepywaniem notatek, musiałem się na chwilę położyć i odespać noc, przerywaną ciągle wychodzeniem do toalety, bo wypilem zgodnie z zaleceniem lekarza sporo wody. Podczas obiadu, ziemniaki, kalafor i jajko sadzone oraz maślanka, obejrzałem film zrealizowany dla BBC o mongolskich polowaniach na zająca z tresowanym do tego celu orłem przednim. Na zdjęciach filmowych pokazano surowy pejzaż Mongolii, jurte służącą za mieszkanie rodzinne i koczownicze, pasterskie życie jej mieszkańców. Interesujące. Po obiedzie znów kontynuowałem uzupełnianie mego dziennika. Jestem już na bieżąco.

25 czerwca 2020

Rano pojechaliśmy na zakupy do Tesco i Kauflandu. Potem zająłem się wiadomościami z Internetu i giełdowymi. Zadzwoniłem do znajomych i siostry, że jednak nie przyjadę do z Łęczycy w te wakacje. Jestem dopiero co po operacji, a także źle się czuję, mam problemy z trzymaniem moczu i noga prawa po przebytym lumbago nadal jest niesprawna. W nocy zaś muszę wkładać między kolana poduszkę. Kondycja ogólna zatem raczej nie pozwala opuszczać domu.

Podczas obiadu znów oglądałem film z cyklu „Plemiona, zwierzęta i ja”, tym razem o hienach żyjących w Etiopii i wokół Addis Abeby. W ten sposób odbywam za darmo podróż dookoła świata. Odwiedził mnie też p. Hiacynt Górnicki, chcąc odebrać swoje 3 albumy. Chwilę też rozmawialiśmy. Przeprosiłem go, że nie mogę go przyjąć w pokoju, ale tam śpi żona. Ja też po jego wyjściu ułożyłem się do drzemki.

Przed wieczorem zadzwoniła do mnie dr S., mówiąc z płaczem, że szefowa NZOZ „Medyk” posadza ją, że namówiła mnie do napisania skargi na Zbigniewa B. do Okręgowego Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej w Rzeszowie. Odpowiedziałem, że nikt poza moim sumieniem mnie do tego nie namawiał. Ale znam opinię wielu pacjentów o nim jako lekarzu i to mnie w jakiś sposób zmobilizowało do napisania skargi do rzecznika. Jutro mam do niej zadzwonić i sprawę wyjaśnić.

26 czerwca 2020

Od rana piękna pogoda, przed szkołami dużo młodzieży szkolnej, odświętnie ubranej, bo to przecież koniec roku szkolnego. Jest bardzo ciepło. W południe nawet 28 stopni. Ale późnym popołudniem pogoda się nieco popsuje, gdyż przejdzie nad Stalową Wolą burza z piorunami. Na Błoniach nad Sanem nadal przy brzegu utrzymuje się woda. W powiecie są liczne podtopienia, ale powodzi nie ma. W Radomyślu nad Sanem walczone ze zgromadzonym przy słupach oporowych drewnem, pniami, gałęziami, by nacierająca siła wody nie naruszyła konstrukcji mostu. Udało się. Załatwiam sprawy wczorajsze, m.in. wyjaśniam sprawę skargi na Z.B., mówiąc, że nikt mnie do tego nie inspirował poza własnym sumieniem. Byłem też w szpitalu, by umówić się na wizytę do diabetologa, dr. Steca. Niestety, pogubiłem się w terminach i nie poszedłem na wizytę 24 czerwca. Coś mi się w głowie poplątało, że to ma być 26. Na razie nie ma już wolnych terminów, które by nie kolidowały z innymi, najbliższy to 15. 09., a więc dopiero we wrześniu. Muszę koniecznie tego pilnować i przynieść ze sobą ksero z tomografii i rezonansu, a także – wiadomo – dzienniczek badań poziomu cukru. Wracając ze szpitala zabrałem do banku, biorąc ze sobą stan konta rachunku inwestycyjnego. Potem poszedłem do biblioteki, by zabrać 3 egzemplarze albumu, które wczoraj dałem Hiacyntowi Górnickiemu. Dzisiejszy obiad to makaron z jabłkami. Podczas obiadu obowiązkowo oglądałem film przyrodniczy „Dzika Irlandia”.

Nawet pojęcia nie miałem, jak wygląda jej zachodnie wybrzeże, za którym rozciąga się ocean. Burzliwe fale Atlantyku rozbijają się o strome skały wysp i wysepek.

Po południu próbowałem się zdrzemnąć, ale sen został przerwany przez 2 telefony. Niestety, drugim razem już nie udało mi się zasnąć. Dziś po północy kończy się kampania wyborcza, a rozpoczyna cisza. Wreszcie będzie normalnie, przynajmniej kilka dni, a potem znów to samo przez 2 tygodnie.

Zmarł Adam Krzykwa, stalowowski fotografik, autor wielu albumów przyrodniczych, które były owocem jego licznych wypraw do okolicznych lasów. Był autorem albumów i folderów wykonanych dla potrzeb naszego muzeum. Zajmował się także fotografią reklamową. Miał wiele wystaw w Polsce i za granicą. Poznałem go w latach 90. Miał 64 lata. Cierpiał od wielu lat na Alzheimera.

27 czerwca 2020

Od rana piękna pogoda, ciepło, momentami gorąco, do 28 stopni. W eterze panuje cisza wyborcza. Na targu masa handlujących. Pod tym względem już wszystko wróciło do normy. Ludzie jakby zapomnieli o pandemii. Ceny truskawek 7-8 zł. Kupiłem 1 kg moreli po 6 zł. Od rana czytałem z „Zarysu dziejów religii” historię Kościoła katolickiego od XVI wieku, wróciłem też krótko do języków obcych. O 13.00 pojechałem na pogrzeb śp. Adama Krzykwy. Podczas mszy grzmiało i padało. Ale gdy z kaplicy wychodził kondukt żałobny, było już ciepło i słonecznie. Ludzi nie było zbyt wielu, pan Adam chorował przecież już od wielu lat, więc nawet ci, którzy go znali wcześniej jako artystę i przychodzili na jego wystawy, jakby o nim zapomnieli. Nie brakuje jednak tych, którzy z nim blisko współpracowali, pracownicy muzeum, domu kultury. Bardzo piękne, wspomnieniowe słowa o swoim ojcu powiedziała na cmentarzu jego córka, absolwentka biologii UW. Mówiła, jak uczył ją miłości do przyrody, zabierał do lasu, na wycieczki, na biwaki, tłumacząc jej, jak wygląda świat i na czym zasadza się jego piękno. Taki był pan Adam. Także wobec własnego zięcia i wnuków. Im też chciał wszczepić swoją miłość do przyrody. Wiem na pewno. Niestety, nie zdążył. Lepszego pożegnania nie można było wymyśleć. To było takie szczere, proste i prawdziwe. Naprawdę się wzruszyłem, nie uczoną homilią celebransa, ale słowami córki o swym ojcu. Wróciłem do domu po 15.00. I od razu zabrałem się za jedzenie. Byłem naprawdę głodny. Odrabiałem zaległości. Nie odszedłem od stołu, dopóki się nie nasyć. Spojrzałem na zegar, który wskazywał już 17.00.

Pogoda na dworze była zmienna: co jakiś czas świeciło słońce, a potem nadchodziła burza, grzmiało i padało. I tak co parę godzin. Pewnie powodzi nie ma, ale woda z błon na pewno nie ustąpiła.

cdn.

Miroslaw Osowski

POEZJA

Adrian Gleń, *Jest*. Zdjęcie na okładce Małgorzata Południak. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *Struktury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezzy, Szczecin, Bezręcze 2023, s. 50.

Almanach pamiątkowy 70-lecia Związku Literatów Polskich Oddział w Opolu. Wybór testów i redakcja almanachu: Harry Duda. Opracowanie edytorskie: Alicja Młynarczyk. Projekt okładki: Ryszard Druch. Motyw roślinny jak przerwany na stronach tytułowych autorów: Leszek Ołdak. Wydawca: Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. E. Smółki w Opolu, Opole 2025, s. 244.

Waldemar Jocher, *Dzień dzień*. Zdjęcie autora Judyta Jocher. Zdjęcie na okładce Małgorzata Południak. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *Struktury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezzy, Szczecin, Bezręcze 2023, s. 36.

Kazimierz Kyrz j, *Punk Ogito w podróży*. Zdjęcie autora Bartosz Konopacki. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *piętnastka*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezzy, Szczecin, Bezręcze 2023, s. 52.

Franciszek Lime, *Garderoba cieni*. Zdjęcie autora Maria Mazurek. Zdjęcie na okładce, projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *Struktury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezzy, Szczecin, Bezręcze 2023, s. 34.

Zbigniew Milewski, *Nie samotne hologramy*. Redaktor i koordynator projektu: Danuta Bartosz. Projekt graficzny o projekt okładki: Danuta Witkowska. Wydawca: Fundacja Literacka „Jak podanie ręki” – seria wydawnicza nr 90, Poznań 2025, s. 84.

Lech Nawrocki, *Bliskość*. Zdjęcie na okładce: Matylda Nawrocka. Zdjęcie: Autora Łukasz Kluga. Rysunki: Anna Mańka. Fundacja Literacka „Jak podanie ręki”, Poznań, 2025, s. 316.

Juan Manuel Roca, *Obywatel nocy*. Zdjęcie autora Carlos Mario Lema. Grafiki na okładce i w książce Piotr Pasiewicz. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *Szesnaście i Pół*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezzy, Szczecin, Bezręcze 2023, s. 48.

Juliusz Wątroba, *Złocisz się w czerni*. Obrazy: Magdalena Kapela. Redakcja: Mirosław Siemiński. Fotografia autora: Dawid Świńczyk. Korekta: Barbara Siemińska. Współpraca: Bożena Krzempke, Joanna Sosna. Wydawnictwo B63, Chybie 2025, s. 172.

Agata Widzowska, *Pando*. Redakcja: Jerzy Benjamin Zimny. Obrazy: Tadeusz Sobkowiak. Wydawnictwo BR Biblioteka ReWirów, Poznań 2025, s. 52.

Jerzy Wratny, *Wiersze wybrane*. Opracowanie graficzne Marlena Makiel-Hędrzak. Fraza, Rzeszów 2023, s. 146, wydanie uzupełnione.

Daniela Ewa Zajączkowska-Hynas, *Świątłość istnienia*. Redakcja i okładka: Małgorzata T. Skwarek-Gałęska. Przedmowa: Andrzej Hynas. Wydawca: Biblioteka ZLP Oddział w Łodzi, Łódź 2025, s. 182.

Wojciech Zamysłowski, *Birdy peak experience*. Zdjęcie autora Elżbieta Zamysłowska. Zdjęcie na okładce Cezary Dubiel, *bez tytułu*, 2022. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *Struktury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezzy, Szczecin, Bezręcze 2023, s. 54.

NAUKA, SZTUKA KULTURA

Dariusz Czaja, *Lekcje ciemności*. Projekt okładki Agnieszka Pasierska. Projekt typograficzny Robert Oleś. Fotografia na okładce Dariusz Czaja. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 376.

Stanisław Czycz, *Za bramą gasnącego sierpnia*. Redakcja Jacek Rozmus, Dorota Niedziałkowska, Tomasz Ryrych. Projekt okładki Janusz Schneider. Zdjęcia na okładce Jacek Rozmus. Opracowanie typograficzne Zuzanna Konieczna. Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Pedagogicznego, Kraków 2023, s. 346.

Jolanta Dudek, *„Jeśli mi słowo bić przestanie, co mi po sercu”*. O twórczości Kazimierza Wierzyńskiego. Projekt typograficzny Marcin Bruchnalski. Projekt okładki Aurelia Milach. *Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartałnika „Nowy Napis”*. Instytut Literatury, Kraków 2023, s. 248.

Anna Frajlich, *Szyborska. Poeta poetów*. Zdjęcie na okładce Władysław Zając. Projekt graficzny serii, projekt okładki Paweł Nowakowski. Seria *Wokół Literatury*. Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezzy, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Szczecin, Bezręcze, Toronto 2023, s. 148.

Arkadiusz Frania, *Witryna i archiwum. Z kart poetyckiej Częstochowy*. Opracowanie graficzne, projekt okładki J.M. Kracucki. Fotografia autora Szymon Halter. Towarzystwo Galeria Literacka, Galeria Literacka 2022, s. 138.

Arkadiusz Frania, *Mędzy pasją pisaną a korektą słów. Z historii Częstochowy*. Opracowanie graficzne, projekt okładki: J.M. Kracuc-

ki. Fotografia autora Szymon Halter. Towarzystwo Galeria Literacka, Galeria Literacka 2023, s. 158.

Tomasz Garbol, *Polskość łacińska. O twórczości literackiej Karola Wojtyły, Jana Pawła II*. Projekt typograficzny Marcin Bruchnalski. Projekt okładki Adam Gutowski. *Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartałnika „Nowy Napis”*. Instytut Literatury, Kraków 2023, s. 198.

Andrzej Mencwel, *Nauczyciele i Przyjaciele*. Projekt okładki i stron tytułowych Elżbieta Chojna. Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2023, s. 262, wydanie II zmienione i poprawione.

Arkadiusz Morawiec, *Polska literatura obywatelska*. Projekt okładki Polkadot Studio Graficzne Aleksandra Woźniak, Hanna Niemierowicz. Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2023, s. 426.

Anna Nasiłowska, *Mroźek. Biografia*. Projekt okładki, układ typograficzny Anna Pol-Pawłowska. Opracowanie graficzne Marek Pawłowski. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, s. 744.

Krzysztof Polechoński, *Kronikarz „czasów niepewnych”. O Ferdynandzie Goetlu i jego twórczości*. Projekt typograficzny Marcin Bruchnalski. Projekt okładki Aurelia Milach. *Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartałnika „Nowy Napis”*. Instytut Literatury, Kraków 2023, s. 260.

Jake Poller, *Aldous Huxley. Biografia*. Przełożył Bartłomiej Zborski. Projekt okładki i stron tytułowych AKC / Ewa Majewska. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023, s. 334.

Maciej Robert, *Rzeki, których nie ma*. Projekt okładki Agnieszka Pasierska. Projekt typograficzny Robert Oleś. Fotografia na okładce © Tomasz Stańczak / AgencjaWyborcza.pl. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 336.

Szkice o najnowszym teatrze białoruskim (2010-2020). Redakcja naukowa wydania polskiego, wstęp i posłowie Irina Lappo. Koncepcja i wybór tekstów Hanna Karniajuk. Projekt okładki Tomasz Smółka. Fotografia na okładce Zmicer Waynowski. Warsztaty Kultury w Lublinie, Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego, Lublin 2023, s. 200.

Józef Unierzycki (ok. 1861-1948) malarz akademicki, uczeń i zięć Jana Matejki, rodem z mazowieckiej szlachty. Na okładce S. Ros-tworowski, *Portret Józefa Unierzyckiego*, ok. 1887. Muzeum Szlachty Mazowieckiej w Ciechanowie, Ciechanów 2023, s. 168.

Z ducha Orfeusza. Studia o polskiej poezji lat 2017-2022. Redakcja naukowa Wojciech Kass, Anna Legeżyńska, Jarosław Ławski. Wydawnictwo PRYMAT, Białystok, Pranie 2023, s. 536.

Miroslaw G. Majewski

Buszujący w antykwariatach

(7)

Imię Róży Umberto Eco przeczytałem trzy razy. Za pierwszym razem czytałem ją jak jedną z wielu książek. Wiele lat później usłyszałem o wydaniu z poprawkami autora, zaintrygowało mnie to na tyle, że kupiłem ją pomimo tego że już miałem jeden egzemplarz. (okładki były inne). Kiedy po wielu latach zagłębiłem się w lekturę *Imienia Róży* po raz drugi, zacząłem odkrywać jak autor próbuje wodzić czytelnika za nos, bo w sumie o czym jest ta książka? To taki Sherlock Holmes i doktor Watson, tyle, że w habitach średniowiecznych mnichów. Narratorem powieści jest Adso z Melku, który będąc już starcem wspomina czasy swojego burzliwego nowicjatu u boku swojego mistrza Wilhelma z Baskerville, dociekliwego Brytyjczyka w franciszkańskim habicie. Po pierwszym czytaniu była to dla mnie kryminalna powieść osadzona w średniowieczu w jakimś bliżej nieokreślonym benedyktyńskim opactwie gdzieś na północy Włoch za czasów rządów awiniońskich papieży walczących nie tyle z zakonem franciszkańskim co z herezjami spod znaku Dulcyna czy Waldensów (których kościół funkcjonuje do dziś.) Przy drugim czytaniu nie skupiałem się już na prowadzeniu śledztwa lecz na znaczeniu słów, wieloznaczności symboli, znaków, jednym słowem tego wszystkiego, czego można spodziewać się po autorze, który jest specjalistą od semiologii. Kolejne wydanie książki było z rysunkami autora, i o ile Umberto Eco jest znakomitym pisarzem to rysownikiem jest, że użyje eufemizmu, takim sobie. Lecz sam fakt, że autor próbuje rozrysować swoją powieść daje dużo do myślenia, zachwyca plan wielkiego gmachu o czterech ośmiokątnych wieżach które mieszczą skryptorium i jedną z najbogatszych, i najpilniej strzeżonych bibliotek tej epoki. Biblioteka to istny labirynt, po którym bez problemów może poruszać się jedynie bibliotekarz, który według tradycji w swoim czasie przejmie urząd opata. Jednym słowem warto powalczyć o fuchę bibliotekarza pod warunkiem że zna się kilka głównych języków, w tym arabski i grecki. Opactwo w sumie jest otwarte, zatrudnia fachowców spoza klasztornych murów, ale dostęp do biblioteki jest bardziej strzeżony niż Fort Knox, ponieważ w swych zbiorach zawiera księgi niechrześcijańskie, a więc zakazane, aby nie mącić umysłów nieupoważnionym konfratrów. Największym

obrońcą niechrześcijańskich dzieł jest czcigodny brat Jorge, którego Umberto Eco czyni demonicznie inteligentnym a przy tym ślepym obrońcą chrześcijańskiej wiary, ślepym dosłownie i alegorycznie. To jeden, przynajmniej dla mnie, z kluczy do zrozumienia tej powieści. Biblioteka zawiera swoje tajemnice nad którymi głowi się Wilhelm z Baskerville, widząc w niej nie tyle źródło śmierci co bogactwo bezkresnej mądrości zastrzeżonej jedynie dla wtajemniczonych. I właśnie o to chodzi Brytyjczykowi, uczniowi samego Rogera Bacona, (którego dziś moglibyśmy uznać za empirystę), aby ta zakazana wiedza trafiła pod „strzechy”. Prawie przez całą fabułę przewija się problem prostaczków, którym wadzi prywatna własność, i którzy nawołują innych do życia w prostocie i z jałmużny, co stoi w kontrze do bizantyjskiego bogactwa kościoła i doprowadza do białej gorączki papieża z Awinionu.

Jeżeli ktoś nie przeczytał *Imienia Róży* ponieważ zadowolił się filmem Jeana – Jacquesa Annauda, to zapewniam że film przemilcza wiele wątków, a inne zmienia. A twarz Seana Connery'ego który wcielił się w Wilhelma z Baskerville ma niewiele wspólnego z rysunkami Umberto Eco.

Gorąco polecam.

Umberto Eco, *Imię Róży*, Oficyna Literacka Noir sur Blanc 2020.

Odejścia

(Dokończenie ze strony 20)

Dla niego Teatr Narodowy nie był tylko budynkiem na placu Teatralnym – był metaforą państwa, które ma obowiązek pamiętać o swoim języku, o swoich mitach, o swojej wyobraźni.

Brak pożegnania ze strony państwa to więc także brak pożegnania z samym sobą. Z państwem, które jeszcze rozumiało, że kultura to coś, co wymaga rytuałów i form. Kiedyś instytucjonalne gesty – wręczenie listu, laudacja, wspólne zdjęcie – były nie tylko formalnością, lecz znakiem uznania dla pracy, która przekraczała indywidualne ambicje.

Dziś pozostała już tylko administracja, a w niej – cisza. Englert odchodzi w tej ciszy, jakby zabierając ze sobą resztki dawnego porządku, w którym sztuka i władza rozmawiała, nawet jeśli się nie zgadzały.

Warto zauważyć, że Englert nie jest wyjątkiem. W ostatnich latach z polskiej kultury odchodzą ludzie tej samej formacji – twórcy,

którzy wierzyli w instytucje, w etos, w hierarchię wartości. Każde z tych odejść odbywa się podobnie: bez fanfar, bez wdzięczności, często w cieniu drobnych medialnych insynuacji czy proceduralnych uzasadnień. To, co powinno być momentem symbolicznego domknięcia, staje się kolejnym aktem banalnego przemilczenia. Jakbyśmy wszyscy bali się przyznać, że coś ważnego właśnie się kończy.

Bo może rzeczywiście się kończy. Nie tyle epoka Englerta, ile epoka instytucjonalnej powagi. Epoka, w której teatr – a wraz z nim kultura – był traktowany jako miejsce refleksji nad światem, a nie jego kalką. W której dyrektor teatru był kimś w rodzaju strażnika sensu, a nie menedżera od „oferty repertuarowej”. Englert reprezentował ten rodzaj myślenia, w którym sztuka nie podlegała władzy, ale też nie uciekała od odpowiedzialności. Jego teatr był konserwatywny, bo wierzył w człowieka, który mówi wierszem, a nie tylko emocją. I może właśnie dlatego dziś wydaje się anachroniczny – bo my już nie mówimy wierszem.

To, co pozostało po nim, to pewien ton – ton powagi, umiaru, refleksji. W czasach, gdy kultura coraz bardziej przypomina medialny hałas, jego odejście w milczeniu jest aktem godności. Nie ma w tym gestu obrazu, raczej świadomość, że pewne rzeczy trzeba zostawić, by mogły być rozumiane z dystansu. Ale czy my ten dystans mamy? Czy potrafimy jeszcze dostrzec, że milczenie wokół odejścia Englerta jest również milczeniem wokół wartości, które reprezentował?

To pytanie nie dotyczy tylko teatru. Dotyczy nas wszystkich. Bo kultura nie istnieje bez rytuałów pamięci. Jeśli przestajemy żegnać tych, którzy przez lata tworzyli jej sens, to nie dlatego, że nie mamy czasu – lecz dlatego, że nie potrafimy już rozpoznać, co jest naprawdę ważne. W tym sensie brak pożegnania Englerta nie jest tylko zaniedbaniem ministerstwa. Jest metaforą naszego wspólnego zubożenia – duchowego, symbolicznego, instytucjonalnego. Zubożenia, które zaczyna się od jednego niepowiedzanego „dziękuję”.

Jan Englert odchodzi z Teatru Narodowego w ciszy. Ale ta cisza jest pełna znaczeń. To nie jest cisza końca, lecz cisza sumienia. Bo teatr – ten prawdziwy – nie potrzebuje fanfar. Potrzebuje pamięci.

Andrzej Dębkowski



Gazeta Kulturalna

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

Redaktor naczelny – **Andrzej Dębkowski**.

Współpraca: prof. Ignacy S. Fiut, Joanna Friedrich, Andrzej Gnarowski, Stefan Jurkowski, Eugeniusz Kurzawa, Sławomir Łuczyński, Barbara Medajska, Justyna Miszczak, Janusz Orlikowski, prof. Maria Szyszkowska, Andrzej Walter, Tadeusz Zawadowski.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębkowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ZELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (44) 634 10 98; 504 63 05 43; e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl